Nr. 11. Lwów w listopadzie 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

Dalsze uwagi o wadliwościach nowej ustawy łowieckiej.

Do szeregu zarzutów przeciw nowej ustawie łowieckiej, których nie można pominąć w przypuszczeniu, żeby po dojrzalszej rozwadze mogły się okazać nieuzasadnionymi lub przemilczeć ich z powodu, że ocenienie doniosłości odnośnych przepisów byłoby przedwczesnem, zaliczam, pomijając zarzuty w Łowcu i na zjeździe już podniesione, przedewszystkiem brak przepisów, w jaki sposób ma być wykonywanem polowanie na obszarach, na których wedle §. 3 b. ustawy przysłuża gminie samodzielne prawo polowania.

Przepisy nowej ustawy o wydzierżawianiu polowań gminnych nie odnoszą się do tych obszarów, wskazuje na to całkiem stanowczo §. 9 ustawy, obejmujący definicyę polowania gminnego jako polowania na obszarach, na których ani pojedynczemu posiadaczowi ani gminie nie przysłuża samodzielne prawo polowania i postanawiający, że tylko gminne polowania w powyższem znaczeniu mają być wydzierżawiane.

Interpretując ściśle ustawę należałoby prawo decyzyi co do wykonywania polowania na obszarach takich przyznać reprezentacyi gminy, która nie krępowana ustawą może dozwolić wykonywanie polowania nie tylko wszystkim członkom gminy, ale i obcym, a zatem uczynić je wolnem.

Konsekwencye takie uchylićby można jedynie przez powołanie się na dawne przepisy ustawowe co do samodzielnych polowań gminnych; przeciw powołaniu się na te przepisy przemawia jednak wzgląd, że nowa ustawa je zniosła. — Obok polowania samoistnego właścicieli większych obszarów możemy wskutek wadliwości ustawy mieć w tej samej gminie polowanie podpadające dzierżawie i polowanie wolne.

Skutkiem takich stosunków byłoby wyniszczenie wszelkiej zwierzyny na całym obszarze gminy, a przepisy policyjne ustawy łowieckiej okazałyby się niewykonalne.

Aby rzecz na praktycznym wypadku uzmysłowić nadmieniam, że np. w powiecie S. wykonywują rzeczywiście dwie gminy prawo polowania na obszarach lasowych, z których każdy przenosi 115 hektarów z pominięciem dzierżawy w ten sposób, że jedna oddała je do wykonywania gajowemu, jako dodatek do wynagrodzenia służbowego, druga zastrzegła bezpłatne wykonywanie polowania urzędowi gminnemu.

Czy jest to prawidłowem wedle nowej ustawy łowieckiej, czy byłoby prawidłowem, gdyby gmina z pominięciem dzierżawy koło uprawnionych do polowania dalej rozszerzyła?

Wadliwymi, względnie niezupełnymi są dalej przepisy §. 74 i §. 38 ust. łow. „Strażnik łowiecki“ ma wedle §. 38 ustawy prawo odebrać przydybanemu kłusownikowi strzelbę i winien jest strzelbę tę złożyć u politycznej władzy powiatowej §. 74 ust. łow. nie zawiera jednak postanowienia, iż odebrana strzelba ulega konfiskacie.

Wobec tego wątpliwą jest wartość przepisu § 38 ust. łow. i nie wiedzieć, jaki cel mogła mieć ustawa urządzając wędrówkę strzelby z rąk kłusownika do rąk strażnika, z rąk strażnika do starostwa, ze starostwa znów do rąk kłusownika.

Przepis §. 38 ust. łow. nastręcza zresztą wątpliwości i pod tym względem, czy prawo odebrania kłusownikowi strzelby przysłuża tylko strażnikowi, czy też i uprawnionemu do polowania.

Za interpretacyą ostatnią przemawia okoliczność, iż strażnik jako zastępca uprawnionego więcej praw niż uprawniony do polowania mieć nie może; przeciw tej interpretacyi stanowisko urzędowe strażnika.

Mamy tu do czynienia z podobnym przepisem, jakim jest przepis ustawy polowej, że strażnikowi wolno drób przydybany na szkodzie polowej w razie niemożności zajęcia zabić.

Jeden sędzia przyznaje to prawo tak strażnikom jak poszkodowanemu, drugi zasądza poszkodowanego, który nie mogąc zająć pobił drób, na odszkodowanie za drób pobity. Po co nastręczanie tych wątpliwości, skoro je można niedwuznacznem postanowieniem ustawy usunąć?

Naszem zdaniem należy prawo odebrania strzelby przyznać ustawowo także uprawnionemu do polowania i postanowić, że strzelba ulega konfiskacie, gdy sprawdzonem zostanie, że jej posiadacz dopuścił się przekroczenia policyjnego przewidzianego ustawą łowiecką.

Z artykułów „Łowca“, traktujących o wadliwościach ustawy łowieckiej, w pierwszym rzędzie zasługuje na uwagę artykuł w Nr. 9 dotyczący przepisów §. 36 ustawy łowieckiej.

Jeżeli jakie zarządzenie ustawowe dotkliwe dałoby się uczuć kłusownikom, to niewątpliwie zarządzenie wykluczające z obiegu zwierzynę przez kłusowników ubitą.

Przepisy §. 36 ustawy nie mają pod tym względem żadnej wartości, propozycye zaś autora owego artykułu zasługują na zupełne uwzględnienie.

W porównaniu z korzyściami dla łowiectwa wydatek na kleszcze i plomby jest bez znaczenia, trafi on zresztą tylko posiadaczy prawa polowania pozbywających zwierzynę.

W końcu zwróciłbym chciał uwagę na kwestyę, czy strażnicy lasowi jako tacy uprawnieni są do noszenia broni myśliwskiej.

Jest to kwestya bardzo ważna w wypadkach, w których osoba posiadacza lasu różną jest od osoby uprawnionego do polowania; niesumienny strażnik lasowy opatrzony w broń myśliwską jest bowiem najniebezpieczniejszym kłusownikiem.

§. 53 ustawy lasowej przyznaje straży lasowej prawo noszenia w służbie broni „zwykłej“, rozporz. min. spraw wnw. i spraw. z dnia 2. stycznia 1854 l. 4 dpp. przyznaje dozorcom lasowym zaprzysiężonym jako straż myśliwska prawo noszenia broni myśliwskiej, §. 32 ust. łow. przyznaje straży łowieckiej prawo noszenia broni myśliwskiej.

Z zestawienia tych przepisów wynikałoby, że tylko strażnicy łowieccy mają prawo noszenia broni myśliwskiej.

Gdy praktyka jest przeważnie inną, byłoby rzeczą Towarzystwa łowieckiego spowodować okólnik politycznej władzy krajowej zwracający uwagę starostw na odnośne przepisy ustawowe. *Dr. W.*

NIBY DROBNOSTKI.

NAPISAŁ

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Piękna, powabna powierzchowność zdolną jest zamaskować pustkę treści — prawda ta szczególniej na polu kulinarnem nabywa wielkiej doniosłości i nadużywaną bywa stosowaniem wszelkich środków tak dalece, że częstokroć *mundus*, który po wszystkie czasy *vult decipi*, nabywa za drogie pieniądze pewne przedmioty, które nigdyby nie były przedmiotem spożycia, gdyby nie nosiły na sobie powabnej sukienki, którą mu bądź przyroda sama, bądź sztuka nadały. I czem kultura dalej postępuje, czem bardziej mnożą się wymagania społeczeństwa, tem jaskrawiej okazują się gusty w tym kierunku, tem więcej łoży się na owe poboczne, czysto estetyczne względy przedmiotów spożycia, o których nic nie wiedziała ludzkość pierwotna.

Przed kilku dniami błądząc po ulicach naszej stolicy, spostrzegłem na wystawie handlu korzennego i śniadańkowego, pośród rozmaitych wyszukanych przysmaków, coś co wzbudziło moją szczególną ciekawość.

W eleganckiem, kartonowem pudełku pod koronką papierową leżały tam rzędem ułożone jakieś niby to orzechy, niby czekoladki sądząc z barwy; całe opakowanie bardzo

staranne okazywało, że przedmiot ten musi być bardzo drogocenny.

Przez chwilę doznałem pewnego upokorzenia, nie mogąc sobie zdać sprawy, coby to być mogło, ale ciekawość zwalcza wszelkie inne względy, to też za chwilę wstąpiłem do sklepu z zapytaniem, coby to było. Jakiś młody jeszcze bardzo kupczyk oświadczył mi, że są to orzechy japońskie, których kilo kosztuje 5 złr., a jedna sztuka 3 ct. Wyciągnąłem cenę jednej sztuki i za chwilę byłem w posiadaniu t. z. licche, czy lisze, jak mi to z wielką powagą oświadczył sam gospodarz sklepu i wiedziałem już, że to licche, używanem jest jako przysmak deserowy. Obliczając gatunek i doniosłość smaku według ceny, byłem przygotowany, że zawartość wnętrza tego orzecha jest co najmniej jakąś japońską ambrożyą, ale doznałem fatalnego rozczarowania, bo w łupinie cienkiej, wielkości orzecha włoskiego, kołatało coś na kształt rodzynka: — no, pomyślałem — musi to być coś nadzwyczajnego, ale gdzietam, były to znów tylko pozory rodzynka, raczej skórka z niego, pod którą znajdowało się twarde jakieś ziarnko, istne lithospermum, urągające choćby wilczym zębom. Tak zgłębiwszy całą wewnętrzną treść tego 3 centowego przysmaku, poszedłem z całkiem uzasadnionemi pretensyami do wzmiankowanego handlu, pragnąc choć w części zemścić się za doznany zawód, ale nic z tego, bo tam właśnie kupiec zajęty był odważaniem 1 kilogr. orzechów japońskich dla czekającego sługusa, a mnie zbył ogólnikiem, że w rzeczach gustu nie ma co się wspierać. Prawda ta uświęcona klasycznem przysłowiem wprawdzie rozbroiła mnie zupełnie, pomimo, że jeszcze przeżuwałem juchtową skórkę pozornego rodzynka, ale zarazem utwierdziła mnie w przekonaniu, że n. p. i szyszki sosny lub świerk mogłyby, równem prawem służyć w eleganckiej adeptacyi jako jakiś przysmak deserowy, i możnaby również odpowiedzieć malkontentowi w Japonii, że *de gustibus non est disputandum.*

Gdy zatem zewnętrzny wygląd i powabny kształt kryje nietylko na polu kulinarnem wewnętrzną lichotę, to na odwrót wygląd niepozorny, a tem więcej powierzchowność wstrętna deprecyonuje wartość wewnętrzną. Wiedzą o tem doskonale wszyscy handlarze, ztąd starają się wszystkim wyrobom i produktom spożycia nadać o ile możności jak najpowabniejszą powierzchowność.

Realną treść masarskich wyrobów przyoblekają dodatkami wcale żadnej nie mającej styczności z wartością spożywczą, smalec układają w pyramidy lub apetytne gruzły, wieszają całe szeregi indyków, kapłonów, uderzające tłuściuchne kuperki itd. itd.

Wszystko i wszędzie otoczone staraniem, aby o ile możności narzucić się oku w najpowabniejszej formie. Wiedzą o tem również i myśliwi, w szczególności na zachodzie, lecz niestety u nas to jeszcze do wyjątków należy, a niemal w regule pojawia się nasza zwierzyna na targach w stanie, który jej wartości wcale nie podnosi, a częstokroć spotkać się tam można z okazami, które wyglądają raczej na przykłady do wzbudzenia wstrętu i obrzydzenia Takie zduszone, zaschłą farbą zupełnie zbabrane okazy, czynią wrażenie padliny, a nie zwierzyny, która przeszła przez ręce myśliwego. Przyczyna takiego niepokaźnego i deprecyonującego wyglądu, leży w niewłaściwem obchodzeniu się ze zwierzyną od chwili ubicia i w nieumiejętnem jej patroszeniu.

Zazwyczaj na naszych polowaniach składają ubitą zwierzynę na wozie, czy na saniach, w bezładną kupę, i ładunek ten, przez cały dzień gnieciony, częstokroć jeszcze jakby umyślnie przez przysiadujących, tłucze się po bezdrożach knieji, farba zamiast ściekać, wsiąka w łuszycę, zlepia ją całymi plastrami, kształty naturalne deformują się, kurczą, płaszczą, łuszyca czy włos mierzwi się, a w dniach ciepłych w jesieni, pod wpływem ciepłoty organicznej, może się w tej kupie rozpocząć rozkład i udzielić niemiłego smaku zwierzynie. Gdy raz ubita zwierzyna wychłódnie i pozbędzie się swej ciepłoty organicznej, już jej tyle nie szkodzi nieporządne obchodzenie się w przesyłce dalszej,bo farba już skrzepła, a kształty zesztywniały, jednak i tutaj będzie najlepiej, jeżeli każda sztuka w stanie wiszącym (łbem na dół) odstawioną zostanie do rąk handlarza. Są to na pozór drobiazgi i zdawaćby się mogły komuś pedanterją, jednak takiemi nie są, a ścisłe przestrzeganie tych ostrożności podnosi niesłychanie wygląd, a tem samem i wartość pokupną zwierzyny. Kto temu nie wierzy, niechaj spróbuje urządzić sobie całkiem pojedynczy przyrząd, na którymby ubitą zwierzynę zawieszać można było na saniach lub wozie zaraz po jej ubiciu, a przekona się natychmiast, że nie nadarmo poniósł koszt niewielki i już z pewnością nie będzie się obchodził nadal ze zwierzyną w tak barbarzyński sposób, jak to niemal powszechnie ma miejsce i coraz rzadziej będziemy oglądali po wystawach delikatesów, wstrętne zwłoki -- oposoczone kudły, wyłupione ślepia, lub na płask zduszone kadawry. Przyrządu do zawieszania zwierzyny opisywać tu nie potrzebuję, bo jest nader prosty, dwa słupki i łata pozioma umieszczają się w tej wysokości, aby zawieszenie było zupełne. Wysokość, która odpowiada długości zająca, zawieszonego za tylne skoki, po przeciągnięciu prawego skoku po za ścięgno lewego, wystarczy i dla lisa i dla kozła, jeżeli go w sposób prawdziwie myśliwski ku temu przysposobimy, przeciągając na krzyż skoki, prawą przednią przez lewą tylną, a lewą przednią przez prawą tylną aż po kolana.

(Dokończenie nastąpi.)

Znaczenie lisa w myśliwstwie.

W wrześniowym zeszycie „Łowca“ pojawił się artypuł pod tytułem: „Kilka słów o niszczeniu lisów“, w którym wielce szanowny autor z obawy przed ogólną zagładą, która lisowi wskutek nowego prądu w myśliwstwie zagraża, stając w obronie jego, stara się równocześnie wykazać, że nasze łowiectwo na niewłaściwe schodzi tory.

Otóż przedewszystkiem co się tyczy zdania, że przyjemniej powinno być prawdziwemu myśliwemu upolować mniej zwierza ale zwierza różnorodnego i rzadszego, niżeli ograniczać się na liczne wprawdzie lecz monotonne zajączki, zgadzam się z tem w zupełności i jeżeli by przyszło mi wybierać jedno z tych polowań, to z pewnością wołał-

bym pierwsze. Niemniej piszę się i na to: „że lepszy jeden strzał do lisa, jak do 10 zajęcy“.

Mimo to jestem największym przeciwnikiem lisa w kniei, szczególniej w miejscowościach, gdzie zwierzostan z powodu różnych wpływów niekorzystnych, sam przez się jest lichy i gdzie chodzi nam o to, aby w jak najkrótszym czasie mieć odpowiedni stan sarn i zajęcy. W takich okolicznościach lis według mego przekonania bezwarunkowo nie ma racyi bytu i musi być tępiony, inaczej rabuś ten chroniony, nietylko udaremniałby wszelkie nasze ku temu zamiary, a co jeszcze gorzej, zniszczywszy do szczętu wszystko, co tylko uchwycić może, wyniósłby się sam, tak iż w końcu ani lisa ani zająca nie mielibyśmy.

Wiemy bowiem z doświadczenia, i co zresztą jest całkiem naturalne, że każdy zwierz trzyma się tak długo pewnej miejscowości, dopóki znajduje w niej dostateczne pożywienie.

W okolicach pustych i w zwierza ubogich, lis niechętnie przebywa, chyba, że musi. Łowi wówczas skrzętnie po polach myszy i chwalą go za to rolnicy, Morzony zaś głodem zakrada się nawet do kurników i ściąga na się przekleństwo dbałej o drób swój gosposi.

Najbardziej jednak szkodliwym i niebezpiecznym staje się lis dla sarn i zajęcy w czasie lęgu. Poluje wówczas zapalczywie, aby dogodzić swym młodym. Dość jest wtedy przypatrzyć się jego norom, a mnóstwo dokoła leżących łapek i innych odpadków zatruwających powietrze, aż nadto są tego dowodem. Niejednokrotnie też byłem świadkiem, jak lis, gdy stałem na stanowisku podczas ciągu słonek, zagryzał zajączka. Innym razem znowu przekonałem się, jak wybrał marczaki z pola ukryte w kopie gnoju, co do nogi. Można też śmiało powiedzieć, że co na wiosnę klimat nasz ostry, z zajęcy nie wygubi, to lis zabierze.

Przykładów wogóle szkodliwości lisa w zwierzostanach, mógłbym przytoczyć mnóstwo, nie chcę jednak zbytecznie nużyć łaskawego czytelnika, gdyż są to zresztą rzeczy każdemu myśliwemu aż nadto znane. Chciałem tylko zaznaczyć, jak dalece szkodliwym stać się on może i że wobec tego trudno myśleć o jego ochronie.

W niektórych tylko okolicznościach, a mianowicie: gdzie wskutek nader korzystnych warunków miejscowych, stan sarn i zajęcy jest bardzo liczny, wtedy i to tylko wyjątkowo możnaby trochę więcej pobłażliwię postępować z lisem i pofolgować w tępieniu — zwłaszcza jeżeli chodzi nam o zachowanie pewnej granicy co do ilości sztuk n. p. sarn ze względu na szkody, jakie one wyrządzają w kulturach. W takich wypadkach lis redukując poczęści nadmierny ten stan, objąłby poniekąd, że tak powiem, rolę praktycznego myśliwego, a w nagrodę za to wymierzonoby mu później strzał, który na polowaniach tyle nam sprawia przyjemności.

Większa część naszego kraju znajduje się jednak w warunkach pod względem zwierzostanu lichych lub wprost opłakanych. Tolerancya zatem lisa ogólnie rzecz biorąc ani ekonomicznie ani też ze stanowiska myśliwskiego nie da się usprawiedliwić.

Dajmy nato, jakto wielce szanowny autor sam przyznaje, że jeden lis zniszczyć może łatwo w ciągu roku 20 zajęcy*), i przyjąwszy, że na pewnym obszarze n. p. 1000 morgowym znajduje się z początkiem sezonu polowania 500 zajęcy i 50 lisów. Odstrzeliwszy na polowaniach tylko $^1/_5$ część tychże, uzyskaliśmy na naszą sztrekę 100 zajęcy i 10 lisów, a takie wypadki zdarzają się dość często, zostałoby z końcem sezonu polowania 400 zajęcy i 40 lisów. Gdybyśmy zatem w celu urozmaicenia polowania w przyszłości i nadal zachować chcieli podobny stosunek lisów do zajęcy, jakiż mógłby wypaść rezultat? Tych 40 zaszanowanych i zarezerwowanych lisów, zjadłoby nam w ciągu roku 800 zajęcy, t. j. cały nasz zapas 400 + 400 z pokolenia. Tym sposobem narazilibyśmy łatwo nasz zwierzostan na wielkie niebezpieczeństwo, a co jeszcze gorzej, jak już wspomniałem, nasz „mykita“ pohulawszy sobie wśród zwierzyny swobodnie i wyniszczywszy ja z czasem do szczętu, w końcu samby się wyniósł.

Prawda, że zając rozmnaża się szybciej niżli lis, gdy się jednak zważy, na jakie różne inne niebezpieczeństwa narażonym jest zając, już to z powodu klimatycznych stosunków i całej falangi drapieżników, które go dziesiątkują łatwo pojąć, że to plus, jeżeliby się w ogóle jakie okazało z pewnością nie będzie tak znaczne.

Jeżeli podobny stosunek lisów do zajęcy zdarza się, jak n. p. w Olejowie i mimo to jest tam dosyć sarn, zajęcy i kuropatw, to miejscowości takie trzeba zaliczyć do wyjątków.

Izolowane parcele leśne okolone żyźnemi polami, bogatemi w zwierza, są zawsze jakby komorą, do których i lis chętnie się ściąga. Twierdzenie zatem, gdzie lis tam i zając poniekąd jest słuszne, z tego jednak bynajmniej jeszcze nie wynika, aby te tak sprzeczne ze sobą żywioły mogły się pogodzić. I jest to raczej ten sam objaw, który tak często spotkać można w naturze, że skoro jakiś rodzaj zwierzęcy rozmnoży się w większej ilości, widzimy, jak ni ztąd ni zowąd gromadzi się równocześnie zastęp licznych jego niszczycieli, a w miarę ustąpienia pierwszych znikają i drugie.

Pozbawiwszy nasze lasy i pola zwierząt: jak sarna, zając kuropatwa i t. p. innych, które lis z łatwością chwyta i są głównym jego pożywieniem utracimy zarazem i lisa, który w swej walce o byt nie mogąc się zadowolnić samemi myszkami lub pędraczkami, z braku pożywienia, stałby się w końcu tak przykrym i natrętnym w gospodarstwie wiejskim człowieka, iżby go wtedy już nikt więcej obronić nie był w stanie.

Z postępem czasu i kulturą zmienić się musiało i nasze łowiectwo. Dziki zwierz czem raz więcej ustępuje z pola, kryje się jeszcze jakiś czas w puszczach i górach, a nieliczne jego zastępy, jak dzik, ryś, niedźwiedź, skazane są już na zupełną zagładę. Taki sam los spotka zapewne i lisa. Prą zresztą do tego stosunki ekonomiczne, a niemniej też i socyalne.

Chcąc nasze myśliwstwo chronić od upadku, należy przedewszystkiem starać się o pomnożenie i utrzymanie zwierzyny pożytecznej, któraby obok przyjemności, jaką nam daje w łowach, przyniosła i pewną korzyść. Naturalnie, że jak wszędzie tak i tutaj zachowaną być musi pewna granica, której przekroczyć nie powinno się. Zbyt wielki n. p. stan sarn w pewnej miejscowości może być tak samo w rolnictwie, jak i w gospodarstwie leśnem plagą nie do zniesienia.

Nieodżałowany i znakomity przyrodnik ś. p. Władysław Spausta, gorący przyjaciel lasu i wielki miłośnik łowiectwa, któremu literatura nasza na tem polu zawdzięcza tyle cennych zdań, w swym odczycie, na walnem zgromadzeniu Towarzystwa leśnego dnia 15-go Września 1894 we Lwowie odbytem, (obacz „Sylwan“ za rok 1895 str. 1, 41, o wzajemnym stosunku lasu i łowiectwa) skreślił nam dobitnie, w jakich ramach poruszać się powinno nasze łowie-

*) Cyfra ta raczej będzie za niską, niżli za wysoką p. a.

ctwo, a między innemi postawił też i wniosek przez walne zgromadzenie leśników jednogłośnie przyjęty: aby domagać się zniesienia czasu ochrony dla lisa, a to ze względu na podniesienie zwierzostanów mniej lasom szkodliwych.

Przyszedłszy przed kilku laty do pewnej okolicy i gospodarując tam w rozległych lasach zastałem je puste i prawie zupełnie ogołocone z zwierzyny. Dla myśliwego przykre to sprawia wrażenie, gdy po całodziennym polowaniu z nagonką w większem towarzystwie nikt strzału nie zrobi, lub chodząc po lesie podczas ponowy nie spotkasz żadnego prawie śladu. Dopiero, odkąd zacząłem tępić lisy wszelkimi środkami, zwierzostan poprawił się znacznie, a szczególniej stan sarn w niektórych oddziałach jest dziś już wcale pocieszającym. Ściąga się też do lasu i czem raz więcej lisów, lecz do pardonu z nimi jeszcze daleko.

Wytępić lisa zupełnie nie jest zresztą tak łatwo, trzebaby na to więcej zbiorowej akcyi i współdziałania czynników ku temu powołanych.

Z pomiędzy wszystkich sposobów, jakich używałem najpraktyczniejszym okazał się sposób strzelania z jam z podziemnymi chodnikami. (Luderhütte) Każę je zakładać w bliskości i w połączeniu z budynkami dozorców lub gajowych, a to dlatego, aby w każdej chwili niepostrzeżenie do nich wejść można było.

Lis znęcony ponętą w pobliżu jamy położonej, strzelca w ukryciu nie wietrzy, na strzał więc przychodzi bardzo łatwo.

Jama taka z chodnikiem powinna być dosyć głęboka, ile możności dylowana, tak iżby wierzch jej przykryty darnią lub ziemią, nie różnił się od terenu. Obok ponęty stawia się, jeżeli go nie ma, jakieś drzewo, na które siadać będą różne ptaki, jak orły, jastrzębie, wrony etc. Sposób ten tępienia lisów okazał się znakomitym, (z jednej takiej jamy dozorca ubić może łatwo w ciągu zimy 20, a nawet i więcej lisów), lepszy jest niźli trucie strychniną, jest prosty i łatwy do wykonania, tak iż mogę go każdemu, kto tylko pragnie pozbyć się lisów, jak najgoręcej polecić.

Z dobrym również skutkiem dadzą się takie jamy zakładać i w głębi lasu na orły i dziki, byleby wybrać odpowiednie miejsce i baczyć na to, aby wejście do podziemnego chodnika było ile możności kryte.

Kreśląc tych parę słów o lisie, nie chcę bynajmniej być zaliczonym do rzędu tych myśliwych, którym chodzi głównie o polowanie na sztuki. Przeciwnie, jestem przekonany, iż każde polowanie tem więcej bawi, im więcej uda nam się ubić takiego zwierza, jak lis. Ale ta pasya strzelania do lisa właśnie polega na tem, że znając chytrą naturę tego szkodnika, jesteśmy dla niego wrogo usposobieni i chcemy go zgładzić.

R. Kesselring.

O tępieniu drapieżników.

Skargi i użalania się wielu myśliwych na lichy zwierzostan spowodowały mnie do napisania w tej kwestyi tych kilku słów, które, jak mam nadzieję, dla niejednego z myśliwych będą dobrą radą.

Oto przez długie lata przekonałem się, iż najwięcej szkody wyrządzały mi lisy, jastrzębie i wrony. Zabrałem się więc energicznie do tępienia tych drapieżników. Mozół i praca, którą przytem miałem obficie zostały nagrodzone, i dzisiaj zwierzostan mój tak w lesie jak i na polu jest świetny.

Aby dopomódz dobrą radą prawdziwym myśliwym, którzy są już mniej lub więcej obeznani z niektórymi sposobami tępienia drapieżników, pozwalam sobie podać jeszcze kilka sposobów tępienia, które się bardzo praktycznemi okazały i które mogę rzeczywiście gorąco polecić.

I.
Tępienie lisów w dołach na kaczkę.

Wykopać dół w rodzaju studni, 12 stóp głęboki a 6 stóp szeroki, ze ścianami prostopadłemi. Wbić w środek dość silnie słup, który ma 10—12 *cm* średnicy i który 1 stopę ponad powierzchnię dołu wystaje. Na ów słup przybić krąg z drzewa, szerszy od słupa, 3-4 *cm* grubości W krągu tym czyli talerzu drewnianym są powiercone dziury na ukos pod górę i to jedna od drugiej 1—1½ *cm*. W otwory te wbija się pręty laskowe 1 *cm* grube, które tworzą niejako dach okrągły, od krąga do brzegu dołu. W środek owego talerza czyli krąga wbija się skobel, u którego przymocowuje się kaczkę. Na drążki kładzie się teraz końską mierzwę i to tak, aby żadnego pręta ani też dołu nie było widać i aby pręty nie załamały się pod cężarem mierzwy. W pobliżu dołu należy rozwieść ze dwa wozy mierzwy końskiej, aby jej aromat lisa zwabił.

Kaczka dostaje na siebie tak zwany półszorek. Najodpowiedniejszą jest zdarta krajka ze sukna, 2 *cm* szeroka, którą się przez kaczkę głowę, skrzydła, od skrzydeł na dół pod nóżkami do skobla przywiązuje.

Korzystniej jest wziąć kaczkę, nie kaczora, ponieważ głośniej krzyczy i dalej ją słychać. Zanosi się ją przed wieczorem na dół, a wcześnie rano do domu zabiera.

Najracyonalniej jest ów dół założyć w pobliżu rowu, nie za blizko drogi, a najlepiej pomiędzy zagajami lub lasami, nigdy zaś w samym lesie. Po ponowie jest też bardzo skutecznie ponętę urządzić.

Podczas ostrej zimy przy wysokim śniegu są rezultaty jak najświetniejsze. Przy silnym mrozie zamarza woda w dole, która się przez deszcze etc. w dole nagromadzi. Należy więc wtedy lód przetłuc i daleko od dołu usunąć. Aby się każdego czasu do dołu dostać można, umieszcza się w pobliżu dołu drabinę, lecz ją także należy dobrze ukryć.

Doły trzeba już kopać w jesieni, zanim ziemia zmarznie, ziemię z dołu rozrzucić lub daleko od dołu usunąć. Pewnej, bardzo ostrej zimy schwyciłem 37 czerwonych rabusiów w jeden dół, a jeden tylko zdołał kaczce głowę urwać.

Jest to mojem zdaniem najlepszy środek na tępienie lisów. Używając takich dołów, już po trzech latach można się spodziewać zupełnie innych rezultatów w polowaniu, gdyż zwierzyna nie będzie padała ofiarą lisów.

II.
Tępienie kun, tchórzów i t. p.

Prócz lisów mamy jeszcze kilka innych niebezpiecznych drapieżników, jak kuny, tak leśne jak i domowe, tchórze, gronostaje, łaski, koty swojskie, które nieraz całe lato w polu przepędzają i zwierzyną się żywią. Jaźwie i jeże nie są tak niewinne, za jakie uchodzą. Szkodzą one bardzo przez wybieranie gniazd; każde, które napotkają, pada ich ofiarą.

Kuny, tchórze, gronostaje, łaski i koty, chwytać w łapice drewniane, tak zwane „Triumph“ po cenie 15 marek za sztukę, jak również i w żelaza. Jaźwice przez jamnika jak też i przez chwytanie w jesieni w łapice. Jeże w łapice, które się w ziemię zakopuje, przykrywa krótką słomą, plewami, korzonkami, nadając im kształt gniazda. U talerza łapicy przymocuje się jajko gipsowe, które się od dołu także troszeczkę przykrywa. W ten sam sposób chwyta się także świetnie kuny, tchórze i wiele innych drapieżników.

III.
Tępienie jastrzębi.

Wielkiem dobrodziejstwem dla naszego zwierzostanu, a mianowicie dla kuropatw, jest tępienie jastrzębi.

Nadzwyczaj trudno tępić je ze strzelbą w ręce, ponieważ są nadzwyczaj ostrożne, a maja wzrok tak świetny, że nadzwyczaj trudno je zajść. Najlepszym sposobem tępienia tych skrzydlatych rabusiów wszelkiego rodzaju, jest łapanie ich w łapice kopcowe. Wbić więc słupek, 10—12 *cm* średnicy, tak w ziemię, aby 1 metr nad ziemię wystawał. Słupek ten obsypać do samej góry ziemią, ażeby miał wygląd małego kopca, a w końcu przybić łapicę. Łapice nastawia się już w jesieni i to najlepiej po kilka w jednej linii, na polach, najlepiej na polach gładkich, gdzie mało drzew lub kamieni, aby jastrząb był nieomal zmuszony na kopcu usiąść i odpocząć. Po pierwzym śniegu można się napewno gości na kopcu spodziewać. Łapice należy się co najmniej raz dziennie opatrzyć. Cena łapic wynosi za sztukę półtorej marki.

Tak łapica „Triumph“ jak i łapice „Kopcowe“ są do nabycia we fabryce łapic Antoniego Webera w Haynau na Szląsku. Fabrykę tę mogę polecić każdemu myśliwemu, ponieważ przez ośm lat z jej strony żadnego zawodu nie doznałem i za pomocą łapic wyrabianych przez tę fabrykę jak najświetniejsze rezultaty osiągnąłem.

IV.
Tępienie wrony.

Przy tej sposobności należy wspomnieć o naszym najpowszechniejszym i najniegodziwszym rabusiu, a jest nim wrona (*Corvus cornix*). Choć jestem wielkim nieprzyjacielem i przeciwnikiem tępienia drapieżników trucizną, to jednak myślę, że wcale grzechu nie będzie, jeżeli na tego rabusia użyjemy trucizny.

Urządza się to w następujący sposób: Zlać w butelkę litrową krew bydlęcą, jeszcze lepiej farbę zwierzyny i zatruć ją strychniną. Tą zatrutą krwią lub farbą polać śnieg, lecz tylko przy ostrym mrozie i stałej pogodzie, i to najkorzystniej w miejscach, gdzie wrony przebywać lubią.

Zatruwanie wron w podany sposób nie pociąga żadnego niebezpieczeństwa za sobą, nie można stracić drogocennego wyżła lub jamnika, co się przy zatruwaniu mięsem często dzieje, ponieważ wrony mięso jak i trutki o kilkaset kroków roznoszą.

Nie byłem dawniej tak wielkim przeciwnikiem i nieprzyjacielem wron, owszem myślałem, iż wrona tylko tępi myszy, zbiera pędraki za pługiem i inne szkodliwe owady, ale przekonawszy się tyle razy naocznie ile młodych zajęcy, ile gniazd kuropatwich zniszczyła, przyszedłem do tego przekonania, iż każdy myśliwy na każdym kroku prześladować i o każdej porze roku na śmierć ją skazać powinien.

* * *

W końcu upraszam szanownych czytelników „Łowca“ aby raczyli i ze swej strony zaznajomić mnie z innymi praktycznymi sposobami tępienia drapieżn ków. Również prosiłbym o łaskawe podanie rezultatów, które czytelnicy „Łowca“ osiągnęli, za pomocą podanych przezemnie powyżej sposobów. Pozbycie się bowiem drapieżników jest bez wątpienia pierwszym krokiem do polepszenia zwierzostanu. Tępienia więc żaden prawdziwy myśliwy nie zaniedbuje, bo Djana mu to sowicie wynagrodzi. *T. M.*

JEDEN DZIEŃ W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Los zrządził, że czasowo znajdujemy się w Bielsku, owym starym gródku podlaskim. Niewiele mając do oglądania w środku miasta zwróciwszy tylko uwagę na ładny, dawne czasy pomnący, ratusz z wieżyczką, na starożytny kościółek, wyglądem swym wiejskie przypominający, dowoli się nacieszywszy rozległemi łąkami, wraz z rzeką Białą przylegającemi do ogrodu, otaczającego letnie nasze schronisko, na skraju miasta położone — zwróciliśmy się myślą ku niedalekiej ztąd puszczy Białowieskiej, żywiąc w sobie chęć wielką zwiedzenia tej przesławnej leśnej krainy.

Puszcza białowieska, rozciągająca się w samym prawie środku gubernii grodzieńskiej, w powiatach prużańskim i wołkowyskim, obejmuje 22 mil kwadratowych, a w połączeniu z przylegającą do niej puszczą Swisłocką, dochodzi do mil 30. Leży pomiędzy rzekami Lśną z Białą i Narwią z Narewką. Jako własność dworu, ma wybudowany tam niedawno cesarski pałacyk we wsi Białowieża. Poprzednio, za czasów Aleksandra II. dworzec znajdował się w Moście królewskim; tam był dworzec myśliwski za dawnych czasów ostatnich królów polskich. Dawniej, dzieląca się na straże, w czasach obecnych rozdzielona na cztery leśnictwa: królowo-mostowskie, browskie, hajnowskie i stołpowickie, specyalny zarząd pomieszcza w Białowieży. Polowania odbywają się w Zwierzyńcu, w leśnictwie hajnowskiem.

Dla nas, wielkich miłośników natury, znających dotąd puszczę li tylko z opisów, tak się ponętną zdawała myśl o wycieczce tam, że wkrótce postaraliśmy się życzenie to w czyn zamienić.

Pewnego czerwcowego poranku, o bardzo wczesnej porze, zaledwie pierwsze promienie słoneczne przez nieszczelne okiennice zajrzały do pokoju, pozrywaliśmy się z łóżek, śpiesznie się ubierając i zbierając do podróży. O szóstej pociąg odchodzi, a z pociągiem nie żarty, czekać na nas nie będzie. Zwykle kursują po tej linii wyłącznie wagony towarowe i to tylko w niektóre oznaczone dni. Tego ranka mieliśmy wyjątkową sposobność i dodany specyalnie wagon pasażerski dla odbycia tej podróży, więc jakże tu nie śpieszyć, nie korzystać...

Szybko jemy śniadanie, zabieramy do koszyczka trochę zapasów dla dzieci, wsiadamy do czekającej na nas dorożki, jedziemy na dworzec kolejowy, a ztamtąd, usadowiwszy się w wagonie, mkniemy do upragnionego celu.

Przez otwarte okienko napływa ku nam rzeźwiące, ranne powietrze, spędzając resztki snu z powiek. Spoglądamy na migające przed oczyma widoki, które, niby podobne do siebie, wszędzie zda się jednostajne, a jednak coraz inne.

Tu masz łany, bujnem porosłe żytem, błękitniejące wśród kłosów bławatki, tam jęczmień faluje, ówdzie owies zielony, ubarwiony różowym kąkolem Białymi pasami odbija się od zieleni hreczka, a gdzie niegdzie, jak niebieska wstęga, mignie długa grzęda lnu kwitnącego. Zdala na wzgórzu dwór jakiś widać, a poniżej zaczynają się łąki, gęsto pośród trawy kwieciem utkane. Aż oto daleko, poza polami, łąkami, wyłania się z za lekkiej mgły, zarysowywa coraz wyraźniej, sino czarna przestrzeń leśna — cel naszej podróży.

Jazda koleją zajęła niespełna dwie godziny czasu. Około ósmej jesteśmy już na miejscu, w Hajnówce, u progu puszczy.

W jakimś nieledwie uroczystym nastroju ducha wchodzimy do lasu. Pośrodku, zacząwszy od pawilonu świeżo wybudowanego, stojącego na wstępie, prowadzi szeroka droga, miękkim piaskiem usypana. Po obu stronach, z początku rzadziej, potem coraz gęściej, grupują się i wznoszą swe konary najrozmaitsze drzewa, wszystkie ogromnie wysokie, o bardzo prostych, równych pniach.

Ślicznie odbijają ciemną zielenią iglaste sosny i jodły od jasnych brzóz, wiązów, jesionów i innych drzew liściastych. Plączą wzajemnie gałęzie, prześcigają się we wzroście i tworzą przedziwnie harmonijną całość, rannem słońcem cudownie oświetloną.

W powietrzu roznosi się ożywiająca woń leśna, wokoło cisza, tylko przy wtórze szumu drzew słychać świergot niezliczonego ptactwa.

Jakże tu pięknie, jak czarująco, jak błogo!...

Podążamy coraz to dalej i dalej, zachwyt trwa i potęguje się zadowolenie wewnętrzne. Bujną rosą operlona trawa aż czerwieni się od poziomek, gęsto wśród niej rozsianych.

Zapuszczając się coraz w głąb, przeszedłszy znaczny kawał drogi, usiedliśmy na pniu szerokim, by nieco spocząć. Nad nami, przed nami, wszędzie wokół zieleń najprzedniejsza, uszy pieści szelest liści poruszanych wietrzykiem. Otoczeni tą mieszaną gromadą olbrzymów leśnych, używamy w całej pełni słodkiego wypoczynku.

Nad kwitnącą miękkiemi kiściami trawą różnobarwne motyle fruwają wesoło, ówdzie brzęczy gospodarna pszczółka. W sąsiedztwie rozkwitającej lipy, szerokolistny klon się ulokował, kryjąc pomiędzy liśćmi swymi dźwięcznym głosem odzywającą się ziębę; gdzieś słychać dzięcioła obstukującego dziobkiem korę drzew. Coś zaszeleściało nad głowami naszemi — to wiewiórka zwinnie przeskakuje po splątanych u góry gałązkach z drzewa na drzewo. Oto jest u szczytu sosny, wnet umknęła dalej, śpieszy, może ucieka przed nieprzyjaciółką swą, kuną; zaledwie musnęła w przeskoku wiotką brzozę, już się znajduje na szerokich konarach dębu i tracimy ją z oczu w cieniu liści.

Uwagę naszą zwraca w inną stronę usłyszany chrzęst suchych gałęzi i szyszek łamiących się pod nogami i odgłosy rozmowy. Z poza drzew wysuwa się dorodna wiejska dziewoja z dzbankiem w ręku, schyla się i zbiera jagody. Za nią podąża druga, mniejsza, obie we wzorzystych samodziałowych spódniczkach, kolorowych chustkach, malowniczy tworzą obrazek. Zbliżyły się ku nam, rychło zabieramy znajomość, są uprzejme, wesołe. Obiecują nam przygotować wiejski podwieczorek, gdy będziemy wracali.

Następnie, korzystając z zamówionego poprzednio we wsi wekihułu, ulokowawszy się możliwie wygodnie na sianem usłanym wózku, jedziemy dalej.

Nasz woźnica, gospodarz hajnowiecki, o łagodnej, dobrodusznej twarzy, stara się nam uprzyjemnić czas rozmową, dużo ciekawych rzeczy prawi o tem lub owem. Od żubrów i puszczy rzecz przeszła powoli do innych przedmiotów, do miast i ich mieszkańców, o których wspomina z jakiemś nieledwie politowaniem, jako o nieznających zblizka przyrody całej, tych piękności, cudów natury.

Mijamy wiorstę za wiorstą; wszędzre po obu stronach jednakowo wspaniałe, imponujące wyniosłością drzewa, tylko coraz ich więcej. Miejscami tworzy się gęstwina, zda się nieprzebyta. Pnie drzew osłonione podszyciem z leszczyny i innych krzewów pomniejszych. Dalej następuje kawałek widniejszy, drzewa przerzedzone, słońce darzy swemi promieniami młode drzewiny, które tem rozkoszniej wzrastają, im więcej czują na sobie pocałunków słonecznych, a młode dębczaki i olchy aż pokraśniały z zadowolenia. Rozbujała na podziw trawa, nie znająca kosy, swobodnie wzrasta, okalając pnie drzewne. Gdzieniegdzie moczary, odmienną porosłe zielonością. Na piaskach las paproci; w głębszym cieniu kępy mchu miękkiego, a nad drogą wszędy moc kwiatów.

Wysiadamy, rwiemy prześliczne, duże dzwonki, polne skabiozy, różową geranię, dzikie digitalisy i inne, z czego się wkrótce tworzą spore wiązanki. Wśród trawy wyszukawszy „żubrówkę“, uzbieraliśmy i jej zapas, aby przyrządzić w domu znaną aromatyczną a smaczną wódkę. Idąc, to jadąc na przemiany, coraz coś spotykamy nowego, godnego uwagi. Jako okazy, do zbiorów swych dołączamy jeszcze rozmaite mchy i porosty, uzbierane na suchych gałęziach drzew. Niekiedy gdzieś poza drzewami przemknie jeleń szybkim biegiem, żywą postacią urozmaicając krajobraz; tylko żubr, główny mieszkaniec puszczy, nie raczył się nam dotąd ukazać, nie lubiąc w porze słonecznej wychodzić z legowiska; ale, że widzieć go chcemy, postanawiamy zatrzymać się chwilę w Zwierzyńcu, nim dalej skierujemy swe kroki.

Przy Zwierzyńcu leśnictwo tworzy jakoby mały folwarczek. Na pierwszym planie oczom się przedstawia połyskujący od słońca bronzowy żubr, na kamiennym postumencie, postawiony ku pamięci odbytego tu kiedyś cesarskiego polowania. Za pomnikiem, ozdobny, piętrowy domek, obok inne skromniejsze i różne zabudowania gospodarskie, na podwórzu snują się ludzie i domowe zwierzęta i ptaki, na słońcu wylegają się psy, które, nas ujrzawszy, d o n o ś n i e szczekać zaczynają.

Uzyskawszy pozwolenie, udajemy się z dodanym przewodnikiem do parku. W piętrowym domku okna poотwierane, dolatuje nas ztamtąd głos fletu z towarzyszeniem fortepianu. Dziwnie jakoś odbija ta muzyka w głębi puszczy, lecz niezmiernie przyjemnie. Przy wstępie do parku, na stronie rozłożone ognisko, przy niem kocioł duży i paru ludzi zajętych obgotowywaniem głów żubrowych, służyć mających jako osobliwość ku ozdobie komnat myśliwskich.

Ale nam te, nagą kością świecące łby, nie podobają się, wolimy ujrzeć żywe, co nie jest o tej porze dnia łatwo, jak się okazuje, bo idziemy bez końca, daleko, po szerokiej, regularnie przeprowadzonej drodze, tworzącej przepyszną aleję; mijamy jedną i drugą szopę, pobudowaną dla żubrów, gdzie przygotowane jest dla nich pożywienie, lecz i tam ich niema. Za to widzimy dużo jeleni i łań, to pojedyńczo, to stadami przebiegających zdala w gęstwinie drzew. Srodześmy się sfatygowali, nim nareszcie okazały, lecz ciężki żubr, wypłoszony przez przewodnika naszego z chłódku, w jakim spoczywał, ukazał się oczom naszym.

Zwierz ten o karku szerokim, zwiesistych rogach, małych uszach, a wielkich, ponuro spoglądających oczach, ma straszną postać i patrząc nań nie dziwnem się zda poprzednio słyszane opowiadanie, że, co zimą się częściej zdarza, gdy wyjdzie nasrożony żubr z głębi lasu, stanie w poprzek drogi, to człek jadący, nie chcąc z nim zadzierać woli ustąpić i rad nie rad zawraca konia.

Zaspokoiwszy ciekawość, znów ze Zwierzyńca zawróciliśmy do lasu, bo tu jednak lepiej się nam podoba. Tam znać już rękę ludzką, a tu wśród dzikości i swobody natury większy nierównie rozpościera się urok. Zapomniawszy o czasie, poddajemy się z rozkoszą wrażeniu, jakie wywiera majestatyczna piękność obrazu, a wśród pogody i ciszy leśnej spokój niewysłowiony napełnia serce i czujesz, że niczem wszelkie opisy w porównaniu z rzeczywistością, bo niepodobna wyrazić słowami wszystkiego, co się w duszy odczuwa, ile czaru i piękności mieści się w tej głuszy, w cieniu tych drzew niebotycznych, pamiętających czasy przedwiekowe...

Kto nie oglądał własnemi oczyma, kto nie słyszał szumu jej drzew, nigdy wyobrażenia jasnego mieć nie może, czem jest właściwie puszcza, jaką jest i jak do duszy przymówić jest zdolną!...

Co to za dziwne, co za Boże głosy,
Jeśli je dusza w natchnieniu zrozumie:
Kiedy nad głową cała puszcza szumi
I swych pokoleń opowiada losy!
    Niby na morzu płyną wielkie fale
    Wierzchem sklepienia, gaiste, swobodne,
    Sporne — niesporne i zgodne — niezgodne —
    Groźby nie groźby i żale nie żale:
    Lecz wszystkie razem tak wielkiego tchnienia,
    Jakby im poszło gdzieś od słów stworzenia!

. . . .

. . . .

Puszcza — to wielka jest natury księga!
Niema — a mówi, kto ją duchem pyta,
I kto do dziejów i natury sięga,
Z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta... *).

Dzień szybko upłynął; słabsze odblaski słoneczne zwiastują, że niezadługo wieczór zawita; uniesienie musiało być przerwane, trzeba pokrzepić siły i myśleć o odwrocie.

Zasiedliśmy na murawie; wyborne mleko, ser, masło, przygotowane na podwieczorek przez wiejską gosposię, doskonale zaspakajają apetyt i smakują bardzo. Na deser poziomki soczyste. Ta niewymyślna uczta zadowala nas w zupełności i dopełnia odpowiednio całości dnia.

I jeszcze trochę błądzimy wśród drzew, marząc, nim przeciągły świst parowozu nie zmusił nas do pośpieszenia na pociąg. W wagonie przychodzą jeszcze na pamięć słowa poety. *Koma.*

---

*) W. Pol.

Wet za wet.

(Gawęda myśliwska).

„Nie dzisiaj to było — ot, kiedym był młody“
Niemało już odtąd upłynęło wody.
Nie takie dziś czasy, nie tacy i ludzie,
Szło dawniej po maśle — dziś idzie po grudzie:
Widziało się dużo własnemi oczyma,
Słyszało się wiele od ludzi z powieści,
Jak wspomnieć, to serce z radości się wzdyma
I ciepła krew żywiej po żyłach szeleści.
A kiedy dziś spojrzysz na innych, na siebie,
To w koło się czerni, i chmurzy, i mroczy,
Ponuro i smutno, jakby na pogrzebie,
I nieraz łzy kropla po licu się stoczy.
To darmo! nie zyskasz nic skargą i płaczem,
Więc lepiej o dawnych czasach pogawędzę,
A jeśli kto będzie cierpliwym słuchaczem,
To może mu chmurę na czole rozpędzę.
    Pamiętam, był ze mnie jeszcze młodzieniaszek,
Co świeżo wyleciał z szkolnego mundurka,
Do lotu się rwałem ochoczo, jak ptaszek,
Co nie ma skrzydełek, ledwie porósł w piórka.
Chłopięce kłopoty skończyły się w szkołach,
A teraz wypadło stanąć na zagonie,
Wyręczać rodzica na polu, w stodołach,
Osiadłem więc w domu, w rodzinnej swej stronie.
Widziałem dokoła postaci nie mało,
I każdą dziś widzę tak, jakby na dłoni;
A z tego wszystkiego, co w oczach zostało,
Wyraźniej od innych stoi pan Antoni:
Najwyższych przerastał prawie całą głową,
Dość spojrzeć, by poznać, że służył wojskowo.
Furażka na bakier, włos krótko strzyżony,
Przy butach ostrogi, wąs w górę kręcony;
Fajeczka piankowa na giętkim cybuchu, —
Nieznane tam były dzisiejsze zapałki,
Więc hupka, krzesiwo, zapaśne dwie skałki
I tytuń turecki w skórzanym kapciuchu.
Na palcu miał pierścień, z żelaza kowany,
A zamiast kolczyka turkus wśrubowany.
Widziałem raz, kiedy przemieniał strój ranny,
Różnemi farbami nakłuty, wyryty

Na piersiach obrazek Przenajświętszej Panny,
Na prawej zaś ręce do krzyża przybity
Pan Jezus — na lewej napisy imienia,
Nazwiska, a przytem data urodzenia.
Odznaczał się zawsze wesołym humorem,
A każdy znał mores przed panem majorem.
Majorski zaś patent wyraźnie pisany
I kresą na twarzy, i szramą na czole,
Głos czysty, jak srebro, spojrzenie sokole,
A serce złociste, choć przyłóż do rany.
Jak rzekłem, pan major był naszym sąsiadem,
O miedzę miał wioskę sposobem dzierżawy,
Lecz orka i siejba niewielkim szły ładem:
Żył z swego retretu, orał dla zabawy.
Narzędzia rolnicze i sprzęty domowe
Nieświetne, tak samo inwentarz roboczy,
Lecz za to popatrzyć na konie wierzchowe:
Puść kroplę po grzbiecie, na ziemię się stoczy!
Bo nigdy nie jeździł inaczej, jak konno,
I tylko dla gości miał bryczkę przestronną.
A w stajni roboczej był kucyk bułanek,
Co zwykle spoczynek miewał w czasie słoty,
W pogodę szedł tylko do lżejszej roboty,
A w zimę zaprzęgał go major do sanek.
Żywina majorska i drobiu potrosze
Pasały się w lesie, na bagnie, na drzewie;
Tam wilki siwaki, i lisy gniadosze,
Tu kaczki, bekasy, jarząbki, cietrzewie.
Domowe kłopoty i siewy, i żniwa,
Zapasy w lamusie, pieniądze gotowe,
Na głowie Grzegorza — facyata poczciwa,
Za swego majora oddałby i głowę.
Był niegdyś u niego w szwadronie wachmistrzem,
A dzisiaj sprawował rozliczne urzędy:
Był rządcą, i łowczym, koniuszem, kuchmistrzem,
I wszystko u niego szło podług komendy.
O wschodzie słonecznym sam wstawał co rano,
Na trąbie myśliwskiej wygrywał pobudkę,
Więc za tym sygnałem do pracy wstawano,
Broń Boże się spóźnić, choćby na minutkę.
Za karę tornister z cegłami na plecy,
Z miotłą na ramieniu warta przy fortecy *),
A potem już we front przed majorem stawał,
I raport dokładny o wszystkiem mu zdawał:
O cieple, o zimnie, o stanie pogody,
Czy w łąkach zasiewach nie zrobił kto szkody.
Czy raport zaś zdawał, czy słuchał rozkazów,
To zawsze już takich dobierał wyrazów,
Że czułeś, iż Grzegorz za piecem nie siadał,
A nieraz też z pieców gorących chleb jadał.
Gdy major zapyta: „a co tam na dworze?“
To Grzegorz: „wybornie, Wielmożny Majorze,
Jest wszystko w porządku, i dobrze się dzieje,
Słońce Austerlickie i świeci, i grzeje“.
Jeżeli w jesieni meldował o słocie,
To zaraz dodawał: „ach! droga przeklęta,
Armaty-by pewnie ugrzęzły w tem błocie,
Jak pod Waterloo — wszak major pamięta“.
Raz burza go z gradem schwyciła na drodze,
Więc temi słowami użalał się srodze:
„Wracałem na siwce od wioski kościelnej,
„Wiatr świsnął, spoglądam — a chmurka się zbiera,
„Puściłem się w galop, grad sypnął piekielny,

*) *Fortecą* w terminologii Grzegorza nazywał się pewien budyneczek.

„Jak gdyby kartacze na Samo-Siera“.
I zawsze w ten sposób swoje dzieje stare
Wspominał, i wszystko mierzył na te miarę,
Ze szkolnych już czasów, gdym wracał mosanie,
Na święta, wakacye, w swe rodzinne strony,
Miałem u majora dobre zachowanie,
Traktował mię zawsze, jak ojciec rodzony.
Na pierwszym już wstępie pytał o cenzurę,
Gdy dobra — pochwalił, za kiepską dał burę.
Nieraz też wypalił *verba veritatis*,
A każde z nich w uchu do dzisiaj mi dzwoni;
Lecz kiedym egzamin zdał *maturitatis*
Powitał serdecznie uściśnieniem dłoni.
Do swego też często zabierał mię dworku;
Zaprawiał do strzelby, do jazdy na koniu,
Więc razem ptaszyny strzelaliśmy w borku,
Zające z chartami ścigali po błoniu.
Po trudach myśliwskich, myśliwskie śniadanie:
Razowiec, wędlina i butelka starki,
Sam wypił kieliszek, mnie nalał pół czarki.
„Kropelka nie szkodzi, rozgrzeje mosanie.
Fajeczce daj pokój, boś jeszcze za młody,
I licha to warte — jam przywykł w obozie,
Nocami i w marszu, na słocie, na mrozie,
Więc trudno dziś bez niej, jak rybie bez wody“.
A potem na drzemkę do bocznej alkówki —
Tam miałeś już całą zbrojownię na śnianie:
Pałasze, tasaki, dwururki, gwintówki,
I torby, i trąbki, i całe ubranie.
Bo grywał na trąbie, jak Wojski Hreczecha,
I raźnie mu w lasach wtórowały echa.
Po drzemce gawędka przed domem na ganku —
A do niej też major miał zapas niemały;
„Bo widzisz, tyś z książki się uczył kochanku,
Ja pieszo i konno zmierzyłem świat cały,
I wszędziem też prochu posypał po szczypcie,
W Hiszpanii, i w Prusach, we Włoszech, w Egipcie“.
I potem powiadał szeroko i długo
Gdzie bywał, co widział — a nigdy w gawędzie
Nie sunął się naprzód ze swoją zasługą,
Tam inni szli przodem, w ostatnim on rzędzie.
I po tej rozmowie w zadumę zapadał,
Dym tylko pociągał z piankowej fajeczki,
Jeżeli zaś potem na nowo zagadał,
To zawsze już z innej rozpoczynał beczki:
O koniach, o strzelbach, zwierzynie, o łowach.
I prędko upływał czas na tych rozmowach.

* * *

Już jesień — przymrozek — noc listopadowa —
Z chmur księżyc niekiedy wychyla się brzegiem
I lasy i pola pokryły się śniegiem,
Jak puszkiem łabędzim — ponowa! ponowa!
Z północka pogoda — rozeszły się chmurki,
A śnieżek niewielki, zaledwie do kostek,
Więc major z Grzegorzem szykują dwururki.
I zaraz na koniu wyruszył wyrostek.
Objechał on pędem od dworu, do dworu,
Zatrąbił w podwórzu i zaraz biegł dalej —
Zrywają się ze snu, bo wszyscy poznali
Ten sygnał — to trąbka myśliwska majora.
A takim sygnałem on zwykle znać dawa,
Że równo ze świtem na wilki obława.
Posuwał się księżyc pogodnym błękitem,
Na dworze tak jasno, że zbieraj choć szpilki,

Zaczęli się zjeżdzać, gdzie jeszcze przed świtem
Od lasu zaś wyciem ozwały się wilki.
Lecz Grzegorz pomyślał już o nich zawczasu —
By ubiedz ich w gnieździe znienacka napadem,
Małemi sankami wyruszył do lasu,
Wyśledził ich gniazdo i osaczył śladem.
Bo stary wybornie głos wilczy udawał,
I zwykle w ten sposób brał wilki na kawał.
Sąsiedzi myśliwi zdaleka i zbliska,
Sankami i konno zbierają się żwawo,
O wschodzie zaś słońca ruszyli z obławą
I w lesie zajęli swoje stanowiska.
Porządnie szło wszystko, aż śmiała się dusza —
A ktoby chciał poznać porządek obławy,
Niech sobie przeczyta „Pana Tadeusza“,
Ja rzecz tę pomijam, bo nie mam w tem wprawy.
Więc krótko zakończę — trzy wilki zabito,
To nie żal i trudu; i wyszli bez sromu —
Puzderko dobyto, gorzałki wypito,
Na bigos zaś major zaprosił do domu.
Gdy do mnie podjechał, postrzegłem już z miny,
Że kryje się w myśli jakaś tajemnica —
Rzekł tylko: „a mamy tu jednego fryca,
Więc warto myśliwskie wyprawić mu chrzciny“.
Poczułem, że major przypijał tem do mnie,
Coś tknęło mię w duszy, lecz o tym obrzędzie
Nie miałem pojęcia, milczałem więc skromnie,
I myślę: „ha trudno! co będzie, to będzie“.
Wysiedliśmy w dworku — burczało w żołądku,
Lecz bardziej sen ciężył — nim siedli za stołem,
Wyszedłem cichaczem, przysiadłem gdzieś w kątku,
Zdrzemnąłem, a potem na dobre chrapnąłem.
A choć to nie było na miękkiem posłaniu,
Przespałbym tak sobie może do wieczora;
Lecz zbudził mię ze snu głos pana majora:
„A dosyć-że tego, my już po śniadaniu“.
Więc zaraz zerwałem się na równe nogi,
W pokoju stołowym już wszystkich zastałem,
Kieliszki, fajeczki, gawęda z zapałem,
Talerze już puste — a niechże was bogi!
No! ale niedługo tę próbę głodową
Znosiłem, bo Grzegorz ukazał się z sieni,
Urządził nakrycie na jedną osobę
I talerz postawił z kawałkiem pieczeni.
A pieczeń huzarska — cebulka, słoninka
I grzanka smażona — pachniały już zdala,
Mnie zaś głód dokuczał, płynęła więc ślinka.
Zacząłem objawiać apetyt szakala.
Znikała też pieczeń, jakby woda w gąbce,
Sprzątnąłem z talerza już prawie połowę,
Aż mi tu nad uchem ktoś zagrał na trąbce...
O zgrozo! struchlałem — *wilcze pogrzebowe.*
Zerwałem się z krzesła, skoczyłem, jak wściekły,
Bo pieczeń huzarska aż w gębie mi rosła —
I śmiechy myśliwców do żywa mię piekły,
Toż ze mnie zadrwili, jak z głupca, jak z osła.
Już chciałem uciekać, chociażby piechotą —
Lecz major mię schwycił: „a nie bądźże dzieckiem,
Toż sztuka myśliwska — czyż gniewać się o to,
Opłaciłeś wkupne w rzemiośle strzeleckiem,
I teraz masz prawo każdego młodzika
Uraczyć tak samo *pieczenią wołową*,
A choćbyś i złapał mnie starego ćwika,
Nie będę się gniewał“. „No! trzymam za słowo“
Stanęła więc zgoda, a potem koleją
Porywa mię każdy, całuje i ściska,
I znowu gawędzą, wesoło się śmieją,
Nareszcie czas w drogę, bo i noc już blizka.
Skończyło się na tem, nie miałem urazy,
A jednak ochota budziła się wielka,
Wypłatać staremu równego figielka,
Myślałem już nad tem nie raz, nie sto razy.
Wypłatać figielka! nie taka tam sztuka,
Lecz jak to wykonać? w tem właśnie zagadka;
Majora pieczenią nie łatwo oszuka —
A nuż się rozgniewa! to sprawa niegładka.
Człek czasem się sili na różne koncepty,
I nic mu dobrego nie przyjdzie do głowy,
A czasem nawinie się pomysł gotowy,
I gładko, i składnie, jak gdyby z recepty.
Nadeszła znów zima i długie wieczory,
Wilk kręci się z głodu, już podczas noclegu
Raz po raz się skrada około obory —
Zdradziły go ślady widoczne na śniegu.
Poczekaj, bestyjo! nie z dudkiem masz sprawę.
Nie byłem już frycem we strzeleckim cechu,
Tem przecie pochwalić się mogłem bez grzechu;
Więc zaraz wieczorem urządzam wyprawę.
Gwintówka na ramię, i marsz za owczarnię!
Około północy spostrzegam łupura *),
Więc na cel, za cyngel — buch! w samą latarnię.
I ani mi zipnął — no! będzie wilczura.
Nazajutrz więc zrana pocichu, ostrożnie,
W naradę z kucharką i strzelcem Stefanem.
Wnet wilcza zrazówka utkwiła na rożnie,
Wytarta cebulką, imbierem i chrzanem.
Udało się dobrze, więc czekam wieczora,
Jak młoda dziewczyna, co wzdycha do tańca,
O zmroku zaś piszę do pana majora,
I z listem wyprawiam konnego posłańca.
A w liście pisałem: „wilk widać mrze z głodu,
Bo u nas się zjawia co nocy na dworze,
Urządzać obławę nie warto zachodu,
Poradzim i sami — przyjeżdzaj majorze.“
W to jemu i graj — on na to, jak na lato!
W godzinę już widzę wskok pędzi bułanek
I major z bermycą na głowie kudłatą,
Z Grzegorzem samowtór, zajechał przed ganek.
„No, dobrze, mój chłopcze! nie jesteś piecuchem.
Co sobie urządza spoczynek wygodny,
Gdy wilki mu koncert śpiewają nad uchem
Lecz naprzód jeść dawaj, bom straszliwie głodny.
Przed samą wieczerzą wyruszyłem w drogę;
Gdy idzie o wilka, toć zwłóczyć nie mogę“.
Więc wołam na służbę i mówię kucharce:
„Gość głodny — wszak było na obiad mięsiwo,
Poszukaj tam tylko, co znajdziesz w śpiżarce
To zaraz na komin i smażyć — a żywo.
A ona odpowie, przytłumiwszy głosik:
„Jest pieczeń z obiadu, możeby bigosik.“
„Wybornie, rzekł major, i potarł czupryny,
Wrzuć tylko, pamiętaj, plasterek cytryny“.
W kwadransik, nie więcej, już stolik nakryty,
Już z kuchni pachniało masełkiem i sosem,

---

*) Na usprawiedliwienie nazwy *łupura,* użytej w moim wierszyku powołuję się na powagę Wincentego Pola: „by *łupur* z kłami miał sobie zabawę“ (Hetmańskie pacholę ks. I., wiersz 168). Oprócz tego w słowniku języka polskiego Al. Zdanowicza znajdujemy: *lupur* i *łupur*.

Więc naprzód przekąska, kielich aqua-vity.
A potem stanęła i miska z bigosem.
Jam jeszcze marudził, lecz major zasiada,
Nie myśląc o zdradzie do jadła się bierze
Wziął łyżkę czubatą, ze smakiem zajada,
Ja chyłkiem do ziemi — i w trąbkę uderzę,
Jak zerwie się major od stołu, jak skoczy,
I z ust mu wypadło: „smarr...“ przerwał w pół słowa;
Zmarszczyło się czoło, zaiskrzyły oczy...
Źle, myślę ja sobie, toż scena gotowa!
Cóż począć? jedyny ratunek w pokorze;
Więc mówię: „jam winien, kochany majorze!
Jak chcesz mię pokaraj, wytargaj za uszy,
Nie gniewaj się tylko i przebacz mi z duszy.
Ja przecie nie ważyłbym się na te żarty,
Lecz miałem, majorze twoje pozwolenie“,
Ostatniem tem słowem do muru przyparty
Rozchmurzył oblicze i dał rozgrzeszenie.
Podano wieczerzę, siadamy do stołu,
Kucharka spełniła wydane rozkazy,
Przyniosła nam misę dobrego rosołu,
A potem zaś kaszę żelazną i zrazy.
Więc teraz obadwaj za łyżki, za noże
I dalej zawijać, aż uszy się trzęsą;
Tymczasem zaś strzelcy kręcą się po dworze
I dla gości z lasu kładą wilcze mięso.
Wstał Major od stołu, a mruczał: „no proszę
Ten młodzik mię złapał, mnie, starego ćwika!
No! widać dziś jajka mędrsze niż kokosze.
Ha trudno! więc kwita z byka za indyka.
A zawsze to brzydko, że wywiódł mię w pole.“
Wszedł Grzegorz—o: mina buńczuczna i harda!
I frontem stanąwszy, rzekł z ręką przy czole:
„Wielmożny majorze, jest juz awangarda,
Główny korpus blizko, już widzę wadera
Przypadła do ścierwa i chciwie pożera.“
Chwytamy za strzelby, i dzwiami tylnemi,
Pod ścianą, pod płotem, schyleni ku ziemi,
Dążymy do gości—a było ich kilka;
Lecz wiecie — nie łatwo znienacka zejść wilka.
Więc choć się skradamy bez szmeru, łoskotu,
Zawyły na trwogę i marsz! do odwrotu.
Dosięgnął ich major — pali z jednej rury,
I z drugiej poprawia — dwa strzały, dwie skóry.
To co się nazywa! więc rad się uśmiechał,
I w dobrym humorze do domu odjechał.

. . . .
. . . .

„Nie dzisiaj to było! a jeszcze dziś słyszę.
I widzę to wszystko, jakbym widział wczora,
I budzi mię ze snu, i do snu kołysze
Dźwięk trąbki, wystrzały i postać Majora.
A w dworku Majora zaległa dziś cisza,
W pień lasy wycięto — nie słychać wystrzałów,
Ni grania ogarów, ni trąbki sygnałów;
I tylko w podwórzu raz wraz się odzywa
Różnymi tonami hałastra krzykliwa
Nowego dziedzica, Jankiela Goldfisza.

Wale.... ....ski.

ŚMIERTELNA MIŁOŚĆ.

„Czarcia studnia“ — to głęboka i lejkowata dolina. W górze rozszerza się, a brzegi jej rysują na niebie zielone koło, zwykle od początku wiosny do końca jesieni. Ktoś, znajdujący się na samym spodzie doliny, nie odczuje powiewu wichru, szalejącego w górze; widzi tylko, że nad głową uginają mu się drzewa, słyszy tylko szmer dziewiczego lasu — a stąd wnosić może, iż tam w górze huczy burza.

Nad lejkiem niekiedy nie widać nic, tylko czysty lazur nieba. Niekiedy jednak na kraju tego lejka ukazuje się jakiś cień i pnie się w fantastycznych kształtach po lazurze. Raz przesuwa się łagodnie, to znowu jak zbite kłęby dymu coś wali w powietrzu i zwiesza się z tej ciemnej masy jak łeb smoka.

Ten w swych kształtach tak często zmieniający się cień — to tylko... chmura. Potworne postacie, wyłaniające się z niej, nie zatrzymują się nad doliną — pędzi je wiatr, gna je burza. Jakby dręczone okropnemi katuszami, wyciągają się, łamią, kurczą, nabierają najniemożliwszych kształtów; rozdarte, rozkawałkowane, rozćwiartowane — wloką za sobą połamane członki.

Jedna z tych postaci ma jakby szerokie, siatkowate, żylaste skrzydło smoka, druga wyobraża coś jakby grzebieniowate wzgórza, trzecia posiada nogi czy też łapy o potwornych kształtach, czwarta podobna do dwóch razem złączonych potworów, walczących z sobą na śmierć i życie, pożerających się wzajemnie.

Kto przygląda się temu widowisku z dołu, temu wydaje się, iż tam w górze odbywa się jakaś walka czarownic.

W okrągłej, jasnej plamie, niby zawieszonej na stropie niebieskim, ukazuje się co chwila jakaś obłoczna postać, różna zupełnie od poprzedniej, a każdej życie trwa tylko dopóty, dopóki chmura nie przepłynie po niebie z jednego brzegu lejka na drugi.

A potem... potem ginie na zawsze...

I znowu następuje jakaś czarodziejska sztuczka, ukazuje się jakiś nowy obłoczny potwór — a wszystko to jest przemijającem... chwilowem.

Kto w takiej porze zajrzy do „Czarciej studni“, z pewnością nie zobaczy nic.

Skoro deszcz zacznie padać, wydaje się, iż krople wody giną w jakiejś bezdennej głębi, gdzie wieczna panuje ciemność. A gdy się zrobi jasno, z uśmiechu nieba i słońca tylko niewielka cząstka przypada w udziale stromym ścianom „Czarciej studni“.

W dole wszystko wilgotne jest i ponure. Powietrze mgliste; ziemia parująć nieustannie, tworzy mgłę, która za-

piera oddech, przyćmiewa wzrok. Ktoś nieprzyzwyczajony do tego dąży śpiesznie ku górze, chcąc jak najprędzej wkroczyć w krainę słońca i światła.

Tam, gdzie słońce dotyka ścian tego kotła, błyszczą wielkie plamy światła, jakby palił się las cały. Tam wciskają się promienie słońca między łagodną zieloność dębów i obsypują złotem tulącą się do olbrzymów trawę.

Wśród takiej jasnej plamy światła ktoś kroczy.

Olbrzymi, ciężki człowiek, krok jego jednak nie zdaje się posiadać ciężaru, bez szelestu dotyka się na pół zwiędłej trawy. Wiewiórka, spłoszona przez tego człowieka, czyni więcej hałasu, niż on, skaczący z korzenia na korzeń i zsuwający się po nim z szybkością błyskawicy.

Spokojnie, ale z natężoną uwagą, kroczy naprzód ów człowiek.

Z gałęzi widłowatego konara spogląda nań z ciekawością wiewiórka; gruby konar osłania zupełnie jego zwinną postać — a tylko błyszczące oczka zwierzątka zdradzają miejsce, w którem maleństwo przycupnęło. Gdy natręt spojzy w tę stronę, wiewiórka cofa się natychmiast i chowa się tak, że najbystrzejsze oko dojrzeć jej nie zdoła.

Na południowej stronie doliny znajduje się mała polanka, wznosząca się łagodnie w górę, a gubiąca się w gęstym, wysokim lesie.

Sarny i łanie najchętniej przebywają na tem miejscu, aczkolwiek polanka ta wydaje się być stworzoną niemal tylko dla samych rogaczów i jeleni.

Polanka ta jest salą balową „Czarciej studni“, w której jeleń podczas ryku pożera się sam w swych miłosnych zapałach. W dole las dębowy, a w nim cieniste kątki, zapraszające jakby do czułych schadzek późnym wieczorem lub wczesnym rankiem — a sarna lubi wybuchać miłością przy świetle dziennem.

Na tej polance nasz człowiek — myśliwy, bo któż to inny być może? — uważa jeszcze więcej na każdy ze swych kroków. Czołga się niemal od jednego drzewa do drugiego z taką ostrożnością, jak gdyby się obawiał, że jeden głośniejszy krok jego może spowodować spadnięcie zeschniętego na gałęzi listka.

Dzwoniec dzwoni gdzieś w liściach; Bóg wie, zkąd mu nagle przyszła ochota osiąść w tym cichym gąszczu, którego nawet kos unika. Sąsiedniem drzewem jest buk, który tutaj zabłądził; stoi samotny między dębami. Na nim odzywa się zięba, szukająca cienia; w języku ptaków pyta się dzwońca:

— Czego ty tu chcesz? Czego chcesz?

Sunący się powoli człowiek nie rozumie nic z tej rozmowy. Patrzy się tylko i bada tylko korę drzew. Na pniu dęba zauważył zdrapaną korę; tam kozioł bez wątpienia czyścił swe rogi. W takiej porze, w lecie, ci mieszkańcy lasu są niemal uosobieniem miłości Nie mają apetytu i spokoju i łakną czułości i pieszczot i w tem pragnieniu są nienasyceni.

Myśliwy zatrzymuje się. Wzrok jego przewierca krzak za krzakiem, a oddech zapiera się w piersiach. Dokoła słychać jakieś szmery.

Teraz przerzuca lekko strzelbę na lewe ramię, a prawą ręką rozgarnia ostrożnie liście na krzakach. Nareszcie znajduje odpowiedni liść. Zrywa go tak lekko z gałązki, że on nie czuje nawet tego i nie chwieje się. Mysikrólik, gdyby na niej usiadł, z pewnością by ją poruszył.

Myśliwy przytula się do wielkiego pnia, tam, gdzie najlepiej kryją go krzaki, a potem bierze liść do ust.

Natychmiast daje się słyszeć lekki, wabiący głos kozy.

Ciepły wiaterek sierpniowy przesuwa się wśród liści, tak lekki, że zaledwie nimi porusza. U stóp góry szemrze strumyk, ale wody nie widać wcale; łożysko jego znajduje się może w głębokim wąwozie, tam, gdzie żaden nie zakwita kwiatek.

Z krzaków występuje teraz wspaniałe zwierzę i staje na samym brzegu wysokiego lasu.

Kapitalny szóstak!...

Czerwonawy grzbiet odrzyna się żywo na zielonem tle — i oto nagle jednym skokiem rogacz znajduje się na polance.

Przez kilka chwil stoi nieruchomy. Jego świecące, czarne oczy badają las, o ile tylko wzrok dosięgnąć może. A potem ślicznie ukształtowaną głowę zwraca na prawo i na lewo, nastawia łyżki, aby mógł lepiej słyszeć. Grzebie ziemię racicą i skacze podrażniony naprzód, aby ujść, przed prześladującymi go komarami. Nagle pochyla głowę i wącha ziemię, jak wyżeł po śladach. Nozdrza mu drżą coś wietrzy, coś czuje, coś słyszy. Bez wahania postępuje rogacz naprzód; coś go prowadzi. Świadomie i niecierpliwie szuka po niewidzialnym śladzie.

Tam unosi się w powietrzu zapach kozy, która tęskni do gacha.

Po niebie „Czarciej studni“ przesuwa się nowy cień, szybszy niż wełnisty obłoczek, który płynie nad nim. Cień ma kształt wielkiego ptaka; nie poruszając ani jednem piórem sunie po nad koronami drzew. To orzeł skalny.

Człowiek przy drzewie mruga tylko jednem okiem w górę. Czeka i milczy. I skarżąca się koza milczy od tej chwili.

W takiej głębokiej ciszy tej samotności jest już wypadkiem, gdy wielkie mrówki przebiegają po korze drzewa w górę i na dół. Zajmującem jest przyglądać się, jak przywódzca mrówek je prowadzi Czułkami dotyka najbliższego kolegę i zdaje się coś szeptać do niego. Potem idzie dalej, mały poddany jednak zatrzymuje się na swojem miejscu i każdemu z pojedyńczych żołnierzy robotniczego pułku komunikuje rozkaz wodza. Kto w tej szybkości może wiedzieć, co ma na celu ten rozkaz? Należy czekać końca, należy czuwać, dokąd dąży wódz i jaki jest cel jego drogi... Czas jednak mija, jasna plama na stoku staje się coraz mniejszą, wieczór zaczyna się spuszczać na świat.

Oczekujący myśliwy bierze listek znowu do ust i naśladuje głos kozy, która wabi swego rycerza. Skoro zakochany rogacz głos ten usłyszy, spieszy na złamanie karku do swej ukochanej. Gorąca krew przebiega mu po żyłach i z dziką namiętnością szuka ukochanej, która się ukrywa.

Ale stary, doświadczony rogacz, który już przebył niejedną burzę i niejedno niebezpieczeństwo, nie zapomina także o złotem przysłowiu: „*festina lente*“ i nie tak łatwo traci głowę.

*

A ten wietrzący, szukający kochanek rogacz może zaprawdę być zaliczony do podtatusiałych jegomościów. Jego silne, ciemnobrązowe rogi są niezwykle piękną ozdobą.

Ha! Jaki naraz robi skok! Usłyszał coś i nadsłuchuje. Gdybyśmy byli bliżej, moglibyśmy słyszeć bicie jego serca. W pierwszym zapale pędzi mimowoli do obiecanego kraju miłości, gdzie spodziewa się zastać sarnę; wkrótce jednak ostrożność i nieufność biorą w nim górę.

Powolnym, cichym krokiem, nadzwyczajnie ostrożnymi, małymi skokami posuwa się tam, gdzie najchętniej chciałby pędzić jak strzała.

Szczególnie żałosny lękliwy, wabiący głos, w którym

spoczywa tyle obietnic, powtarza się. Nie ulega wątpliwości, że koza gdzieś się ukrywa. Stary kozioł zwraca całą swą uwagę na to, aby wyśledzić miejsce, zkąd przychodzi głos jego ukochanej. Przytem wysuwa tak lekko raciczki jedną za drugą, że zdaje się prawie wcale nie dotykać ziemi. Wyciąga kark, nastawia łyżki i wietrzy dokoła. Nie ma odwagi rzucić się wprost na gęste krzaki, gdzie, jak się zdaje, jego luba się ukrywa Z chytrością i zręcznością, która przyniosłaby zaszczyt rysiowi, przesuwa się najpierw w szerokiem kole między drzewami, aby s'ę przekonać, czy jaki niebezpieczny wróg nie czyha w pobliżu.

Kozioł jest wzruszony do szpiku kości i zaczyna się niecierpliwić. Już drażni go podejrzliwość, że może jakiś przybyły zdala awanturnik napadł na piękną, wysmukłą sarnę, która pomimo całej swej wrażliwości na objawy miłosne stara się pozbyć natręta. Jakto, tutaj, w jego od dawna założonem gnieździe, w państwie jego despotycznych namiętności miałby się odważyć jakiś złodziej, odbierać mu jego przywileje!

Zazdrość w sercu kozła jest niemniejszą katuszą, jak w każdem innem zakochanem sercu.

I w tej gorączkowej chwili podrażnionych żądz i namiętności odzywa się na nowo głos sarny. Głos jej brzmi teraz jakby lękliwie; jakby ściśnięty wychodzi z krtani, niby chcąc powiedzieć:

— Proszę, proszę, bo się spóźnisz....

Kozioł na czatach zdaje się mieć halucynacye, zdaje mu się, że słyszy nawet kroki napastnika: rywala.

Nie, tego dłużej znieść nie można! Precz z całą ostrożnością! Biada napastnikowi, który ośmielił się wtargnąć tutaj, będąc zupełnie obcym!

Stary, zazdrosny kozioł sunie naprzód. Wszystkie muskuły jego ciała są naprężone. Nieprzezwyciężona chęć walki pcha go naprzód. Gniew i miłość przyśpieszają równomiernie krążenie krwi w jego żyłach.

Nie zważając na nic, pędzi ślepo na krzaki, w których ostatni drżący głos górą rozszedł się po milczącym lesie.

I oto teraz stanął rogacz przed ponurą postacią przytuloną do pnia dębu. Kozioł znalazł się przed lufą, wymierzoną do niego.

Przez chwilę patrzą na siebie obydwaj: człowiek tryumfująco, rogacz zaskoczony niespodzianie, przerażony.

Zaczyna uciekać w potężnych skokach.

W tej chwili jednak błyska ogień i odzywa się huk. Echo w „Czarciej studni“ powtarza kilkakrotnie detonacyę.

Ochrypły, przenikliwy głos alarmu daje się słyszeć w głębi lasu. Inny kozioł ucieka tam przerażony, chowając się coraz głębiej w lesie. Od czasu do czasu staje, ogląda się, wydaje okrzyk ostrzegający i sunie dalej.

Ponad głębokim kotłem pędzi para dzikich gołębi, ale się nie opuszcza; jakoś tu nieprzyjemnie, za wiele hałasu.

Milczący strzelec wyrzuca pęknięty liść, zapomocą którego naśladował głos sarny. Zarzuca fuzyę na ramię i powoli kroczy ku temu miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze stał dumny rogacz, zakochany.

Teraz leży nieruchomy w trawie; z przygasłych oczu uciekło życie; kropla krwi wisi mu przy chrapach. Bąki przylatują i siadają mu na grzbiecie. Te nieubłagane zwiastuny zgnilizny pędzą zawsze śladami śmierci.

W głębi „Czarnej studni“ staje się ciemno i mglisto.

Orzeł skalny w powrocie szybuje wysoko pod sklepieniem niebios. Tam, gdzie się unosi, panuje jeszcze światło, nawet ciemne orle pióra błyszczą w słońcu.

Ponad „Czarcią studnią“ orzeł się spuszcza i zwalnia lot. Zaczyna zataczać dokoła szerokie kręgi na niebie; chciwie bada, co się dzieje między drzewami na polance, tam gdzie myśliwy stoi obok rogacza, którego trafił w samo serce.

KORESPONDENCYE.

Warszawa 25. października.

(Towarzystwo prawidłowego polowania.)

Wczoraj odbyło się po raz pierwszy w nowym lokalu Towarzystwa prawidłowego polowaia zebranie ogólne członków. Piękny lokal zaledwo mógł pomieścić zebranych; nad sprawami, wypełniającemi porządek dzienny, rozprawiano żywo i wyczerpująco.

Ze sprawozdania, stanowiącego pierwszy punkt obrad, dane ważniejsze wykazują:

Tow. w roku sprawozdawczym 1897-ym urządziło miejsca ochronne na przestrzeni 2,596 dziesięcin, ponieważ zaś do okresu sprawozdawczego posiadało takich miejsc 63,588 dz., przeto z początkiem r. b. przestrzeń ta wyniosła 66,184 dzies.

Broni myśliwskiej odebrano w tymże czasie od kłusowników w gminach Królestwa, z wyjątkiem gub. kaliskiej, z której nie otrzymano właściwego zawiadomienia, sztuk 4,030.

Nagród pieniężnych udzielono strażnikom i osobom prywatnym rb. 1,228, prócz tego rozdano w tym celu 9 zegarków srebrnych z herbem Tow. i napisem: „za gorliwość“.

Majątek oddziału, złożony w papierach procentowych, gotowiźnie, wartości ruchomości i wartości innych przedmiotów, wyniósł rb. 14,157.

Skład osobowy oddziału wykazał ogółem członków 945. Skutkiem niewnoszenia składek wykreślono z listy 297 członków.

Wreszcie nadano w tymże okresie medal złoty z dyplomem hr. Augustowi Zamoyskiemu, właścicielowi dóbr Rożanki, za największą liczbę zniszczonych w r. 1892-im zwierząt i ptaków drapieżnych.

Ze sprawozdania komisyi rewizyjnej na uwagę zasługuje: nacisk, jaki komisya kładzie na zaległości, wynikające z powodu niewnoszenia przez członków wkładek, na potrzebę wprowadzenia pewnych oszczędności i na wzorowo prowadzoną rachunkowość Towarzystwa.

Co do sprawozdań rady i komisyi rewizyjnej wystę

pował z interpelacyą i zarzutem zbyt wielkiego wydatku na kancelaryę i bibliotekę p. Puciłło, któremu odpowiadali pp.: Więckowski, Zarębski, St. Dzierzbicki, Lewszyn i Schrayer.

Wnioski, przedstawione przez zarząd, były liczne i dotykały spraw różnorodnych.

Kilka wniosków, dotyczących spraw administracyjnych przyjęto bez dyskusyi.

Za to sprawa podniesienia wkładki dla członków warszawskich do rb. 20 rocznie, aczkolwiek znajdująca się już nie po raz pierwszy na porządku dziennym zebrań ogólnych, wywołała żywą dyskusyę. Wniosek ten nie znalazł przedewszystkiem poparcia w radzie Towarzystwa, która większością głosów nie uznała przedstawionych motywów za dostateczne i przeciwko nim stanowczo się oświadczyła. W tej myśli przemawiał na posiedzeniu członek rady, p. Godycki-Ćwirko, zaznaczając, że podniesienie wkładki wypaść może łatwo na niekorzyść Towarzystwa, zrażając do niego wielu członków dotychczasowych.

W obronie wniosku gorąco przemawiał adwokat Bron. Wysocki, który powołał się na nieakuratność opłaty wkładek i na ewentualny brak w przyszłości środków na istotne cele Towarzystwa, które dotąd nie są dostatecznie uwzględnione i popierane. Pan W. nie obawia się, że część członków, szukających jedynie rozrywek, usunie się z Towarzystwa, bo natomiast ci, co pozostaną, będą mieli przedewszystkiem na względzie właściwe zadania Towarzystwa i wkładkami swojemi do ich zaspokojenia dostatecznie się przyłożą. Zresztą, zdaniem mowcy, Towarzystwo prawidłowego polowania, względnie do prerogatyw, jakie daje, jest najtańsze ze stowarzyszeń warszawskich i podniesienie opłaty do rb. 20-tu cechy tej mu nie odejmuje.

Po przemówieniu jeszcze radcy Jeziorańskiego, który w treściwych słowach wykazał niebezpieczeństwo odwoływania się do środków nadzwyczajnych, stanem finansowym obecnej chwili nie usprawiedliwionych, wniosek rozstrzygnięto przez głosowanie imienne. Głosowanie to wykazało 57 głosów za podniesieniem opłaty, a 49 przeciwko, czyli zatwierdziło większością 8-iu głosów wniosek, pierwotnie postawiony. Uchwała stosuje się jedynie do członków, w Warszawie zamieszkałych, utrzymując dla członków prowincyonalnych opłatę dotychczasową, to jest 12 rb. rocznie.

Przeciwko zapadłej uchwale protestował tylko jeden głos, p. Sadkowskiego, zarzucającego nieprawność przyjętej decyzyi ze względu, iż w głosowaniu brali udział członkowie prowincyonalni, którzy, według ustawy, w zebraniach ogólnych udziału brać nie mogą. Głos ten okazał się jednak nieuzasadnionym naprzód z powodu niewłaściwej interpretacyi odpowiedniego paragrafu ustawy, powtóre z uwagi, iż w zebraniu członkowie prowincyonalni udziału nie brali.

Odczytany z kolei wniosek, wiążący się niejako z wnioskiem poprzednim, bo domagający się zniesienia opłaty dodatkowej, pobieranej dotąd za bilety sezonowe w kwocie 15 rubli, obudził również spór dość żywy. Po długich rozprawach, zakończonych balotowaniem, wniosek uchwalono w tym duchu i opłata dodatkowa za prawo polowania nie będzie nadal pobierana; co zaś do zwrotu opłaty wniesionej, sprawę tę załatwi rada. Prawo bezpłatnego polowania na gruntach Towarzystwa służy od dnia dzisiejszego wszystkim bez wyjątku członkom Towarzystwa.

Wniosek o nierobienie trudności w przyjmowaniu kandydatów na członków rzeczywistych, oraz w sprawie nieprawidłowości w wyborze wydziału nabrał wyjątkowego znaczenia z uwagi na objaśnienia, udzielone przez p. Korsaka, jednego z podpisanych na wniosku członków, i p. Jeziorańskiego. Pierwszy z nich wymownie przedstawił potrzeby krajowego myśliwstwa i licznej rzeszy myśliwych, którzy początkowo garnęli się szczerze do Towarzystwa, o ile toż Towarzystwo miało na planie głównym cele użyteczności publicznej; drugi z właściwą sobie wymową wykazał iż Towarzystwo, pomimo pozornego odstąpienia od zasad swoich, służyło im wiernie, i plonem, jaki dotąd zdobyło w kierunku ochrony zwierzostanu krajowego, poszczycić się może. Ostatnie przemówienie przychyliło szalę zwycięstwa na stronę dotychczasowej działalności zarządu i utrwalenia porządku, obecnie obowiązującego.

Z komunikatów zarządu, odczytanych przez członka-sekretarza, p. Więckowskiego, zaznaczamy jeden, mianowicie, uchwałę zarządu Towarzystwa urządzenia w miesiącu czerwcu r. p. w Warszawie wystawy, z myśliwstwem związanej. Myśl to nader szczęśliwa i pożyteczna, sądzimy więc, iż znajdzie wśród ogółu życzliwe przyjęcie.

Wynik dokonanych wyborów na jedenastu członków rady okazał się następujący: wybrani zostali pp.: Jan Sztolcman (gł. 100), M. ks. Radziwiłł (99), Aleks. Jełowicki (99), Lud. Laszcz (98), Aleks. Wysocki (98), jenerał Kaulbars (96), S. ks. Lubomirski (94), Adam Zakrzewski (93), St. Dziechciński (91), Ant. Miernowski (89).

Ig. Ch.

Łańcut, 28. października.

W dniach 20., 21. i 22. października r. b. odbyły się w dobrach ordynacyi łańcuckiej w trzech mniejszych rewirach polnych polowania na bażanty i zające.

Polowania te pomimo wielkiej burzy w dniu pierwszym, a deszczu i mgły w następnych dniach, wypadły w ogóle zadawalniająco.

Drugiego dnia szczególnie w rewirze Betulin tak ślicznie bażanty szły w górę i latały, że pomimo deszczu i przemoknięcia goście nadzwyczaj zadowoleni powrócili do zamku łańcuckiego. Na polowaniach tych w ośm strzelb tylko i zawsze dopiero od południa zaczynając, padło 754 bażantów, 389 zajęcy, 23 kuropatw, 1 słonka, 1 przepiórka, rogacz i lis, czyli razem sztuk 1.175, bez późniejszego jednak przeszukiwania za postrzałkami w rewirach ostatnich, tak że napewno jeszcze znajdzie się co najmniej 40—50 bażantów i zajęcy i cyfra ogólna ubitej zwierzyny ponad 1200 sztuk wypaść może. *Wł. Lewicki*, łowczy.

Krakowiec, w październiku.

(Polowanie w Krakowcu).

Na otwarcie jesiennego polowania, liczne grono znalazło się u K. hr. Łubieńskiego w Krakowcu. Nie wymieniając nazwisk, powiem tylko, że Królestwo i Poznańskie miały swych przedstawicieli, pogawędki więc wieczorne nie ograniczały się na rozpamiętywaniu epizodów z ubiegłego dnia, lecz przybierały cechę ogólnie interesującą, a nadawał im jeszcze artystycznego podkładu hr. L. S. zachwycając wszystkich myśliwskimi swymi poematami.

Już to przyznać trzeba, że gospodarz urządził wszystko tak, by swym gościom dogodzić. Nawet śliczna pogoda jesienna, siadłszy z nami na wózek od pierwszego dnia, towarzyszyła ciągle i łagodnym uśmiechem rozweselała nam chwile pobytu w lesie. Swawolna i psotna Sylwanka, była

w doskonałym humorze, bardzo grzecznie robiła honory w kniei, a choć zwykle miewa grube dystrakcye, tym razem nie zapomniała o nikim i do wszystkich kolejno szczerzyła swe ząbki. W końcu, by niespodziankę nam zrobić, dzika nawet dużego wyparła na linię, w kniei, w której o ile mi wiadomo, raczej z jeleniem spotkać się można, lecz gracz ten przebiegły, kozła wysłał jako straż przednią i wyzyskując chwilę nabijania strzelby, przemknął bezpiecznie.

Wieczorem oglądaliśmy rozkład okazały, wyszukując każdy swoje ofiary, a było 19 kozłów, 14 lisów, 36 zajęcy, cietrzew i słonka; z zajęcy ostatniego dnia 31 sztuk na 55 strzałów. Drużyna myśliwska pragnęła widocznie popisać się przed gospodarzem, znawcą nielada w tym fachu, celnością swych strzałów, by zasłużyć sobie i nadal na zaproszenie na tak urocze, pod każdym względem, łowy.

K.

Piłatkowce w listopadzie.

Chcąc uczynić zadość obowiązkom delegata, pośpieszam donieść o stosunkach myśliwskich i stanie zwierzyny w moim okręgu. Sezon tegoroczny, o ile miałem sposobność skonstatować, nie będzie należał do świetnych, pomimo sprzyjającej dla młodych zajęcy wiosny. Na mojem terytoryum własnem i które dzierżawię, same pola, bardzo mało zajęcy spotykam. Obszar jest dość duży, własnego 280 m. a 1600 morgów dzierżawionego w dwóch gminach. Kilka razy już wychodziłem w pole, ale zawsze spotykałem zajęcy nadzwyczaj mało. Być może, że trzymają się jeszcze w lasach, z powodu robót w polu. Tutaj nadmienić muszę o bardzo szkodliwym zwyczaju naszych włościan. Każdy włościanin, idąc z pługiem w pole, bierze z sobą psa. Psy te myszkując po polu, wypłaszają zwierzynę, a na wiosnę to nie jednego zajączka taki kundys schwyci. Byłoby pożądanem, by władza polityczna wydała odpowiedni okólnik do gmin, zakazujący brania psów w pole. Na tym zwyczaju najwięcej tracą dzierżawiący polowanie na gruntach gminnych.

W Borszczowie zawiązało się Kółko myśliwskie. Jest nadzieja, że towarzystwo objąwszy polowanie w lasach należących do izraelitów, doprowadzi stan zwierzyny w tych kniejach do świetności.

W październiku odbyły się dwa polowania kniejowe. W dniu 15. października odbyło się polowanie w Szerszeniowcach, majątku p. Weissglasa. W 12 strzelb padło 14 zajęcy, 3 lisy, 3 kozły. Wielka ilość lisów widziana w miotach, sprawiała wielką emocyę myśliwym, ale w takiej małej kniei (400 m.) stanowczo jest ich zadużo. Dość powiedzieć, że strzelano do 8, a drugie tyle wyszło niestrzelanych z miotu. Koniecznemby było, żeby polujący w tej kniei wzięli się z całą energią do lisów, gdyż knieja ta nigdy tyle zajęcy mieć nie będzie, ileby mieć powinna z powodu swego korzystnego położenia wśród pól. Widziano także stadko kuropatw, ale na strzał nie przyszły.

W dniu 22. października odbyło się polowanie w Krzywczu, majątku pp. Seidmanów. W 12 strzelb padło 21 zajęcy i 2 lisy. Sarn widziano tylko dwie sztuki. Lisów było także kilka, ale długokity ma widocznie szczęście, gdy mu tak polowanie na sucho uchodzi. Stan zajęcy jakoteż sarn, wcale w tych obydwóch kniejach się nie poprawił.

Ludwik Józefowicz,
delegat borszczowski.

Uszew pod Okocimem w listopadzie.

Dnia 31. października b. r. odbyło się polowanko na bażanty w Okocimie. Piszę polowanko, bo było ono we trzy strzelby i nie w kniei głównej, gdzie zapuszczone zostały dwa lata temu, lecz w wiklach nad rzeką Uszwicą. Rozeszły się one też na całą okolicę, a i dziś we wszystkich laskach małych w pobliżu lasu głównego można napotkać bażanty, tak że przyszłość dla nich świetnie się przedstawia. Kilku zaledwie naganiaczy przedzierało się przez gąszcze wiklinowe i cierniaki, a myśliwi śli po nad brzegami rzeki. Polowanko udało się znakomicie, bo zabiliśmy 15 kogutów i 3 krzyżówki. Kaczek widzieliśmy mnóstwo, porywały się stadkami, ale naturalnie za daleko. Kur bażantek widzieliśmy ze 60. Kiedyśmy przejeżdżali koło jednego z lasków przez pola zasiane widzieliśmy pod laskiem chodzących 5 kogutów z jednej jego strony, a kiedyśmy powracali, z tej strony chodziło trzy, a po drugiej stronie lasku sześć. Dla oka była to ładna biesiada.

Całość udała się bardzo dobrze. Pogoda sprzyjała nam, a zwierzyny, do której się nie strzelało, widzieliśmy mnóstwo. Oprócz kaczek kuropatw i kilku sztuk sarn, zające, jeden po drugim, co chwila wymykały się obojętnie w pola, jakby wiedziały, że nie o nie tu chodzi. Bażanty przyjęły się u nas nadspodziewanie dobrze, *notabene* na dziko. W tak krótkim czasie, dzięki zabiegom i opiece, rozmnożyły się wybornie. Ale nie można tu powiedzieć: miał szczęście, więc przyjęły się. Główna zasługa jest gospodarza, dobrego myśliwego, który nietylko pilnuje ale i racyonalnie odstrzeliwa. Prawda, że dzięki służbie leśnej lis, który się dziś pokaże, a przynęcają go bażanty, w ciągu najdalej trzech dni futrem płaci łakomstwo. Stąd też dobrobyt i wzrost w stanie zajęcy, sarn, bażantów i kuropatw. Szkoda lisów, ale gdy się ma do wyboru albo bażanty, albo lisy to już lepiej wybrać pierwsze. Jedną jeszcze ma ogromną cnotę kochany gospodarz, a mianowicie tę, że umie sobie dobierać organy wykonawcze. Leśniczy okocimscy to prawdziwa perła.

S.

Kłusownicy.

Pismo „Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta“, o którem była mowa na ostatniem posiedzeniu Wydziału Tow. łowieckiego, brzmi jak następuje:

Do Wydziału gal. Tow. łowieckiego we Lwowie!

Pan Stanisław Piegłowski, członek Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta, oraz gal. Towarzystwa łowieckiego, bawiący obecnie w Smorzu na rykowisku jeleni — donosi nam listami z d. 14. i 16. bm., co następuje:

W rewirze „Mochnate“, dzierżawionym przez p. Bronisława Osuchowskiego, a graniczącym z naszym rewirem Smorze (obszar gminny), dzieją się niesłychane nadużycia.

Mianowicie p. Józef Galiński, jako wykonywujący nadzór

polowania w rewirach fundacyjnych przez nas dzierżawionych, a zarazem jako delegat galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, zdał mi relacyę następującej treści:

„W rewirze „Mochnate“, należącym do powiatu Turka, a dzierżawionym przez p. Bronisława Osuchowskiego, który sam myśliwym nie jest, poluje, kto w Boga wierzy. I tak: dnia 27. sierpnia b. r. (święto ruskie: Matki Boskiej), ekonom p. Osuchowskiego, Dziuba, z Wysocka wyżnego, ubił łanię. Polowali z nim: Bazyli i Mikołaj Wysoczańscy z Wysocka wyżnego, oraz Becker z Byniowej.

„Dalej dnia 10. września br. polowali wyżej pomienieni, oprócz Beckera — i tegoż dnia rano ubił Bazyli Wysoczański śpiczaka, popołudniu zaś — jeden z Wysoczańskich — Bazyli lub Mikołaj — łanię. Razem tedy dwie łanie i jednego śpiczaka. Łanię, ubitą na tem polowaniu, ukryto na terytoryum polowań p. Galińskiego, u dozorcy wyrębu lasu (firmy Schultz) p. Cychulary, od którego p. Galiński rzeczoną łanię odebrał i skonfiskował“.

„Wreszcie dnia 11. b. m. (w niedzielę) polowali ci sami, tj. ekonom Dziuba i obaj Wysoczańscy i mieli postrzelić jelenia“.

Pan delegat Galiński powołuje na świadków tych nadużyć syna swego Bronisława, Oleksę Wyhodowańca, leśnego ze Smorza; p. Cychulary z Matkowa, Iwana Jaworskiego i Ilnickiego, wójta z Iwaszkowa.

P. Galiński twierdzi, że żaden z powyższych polujących prawdopodobnie nie posiadał ani karty myśliwskiej, ani też paszportu na broń.

Podając fakta powyższe do wiadomości Szanownego Towarzystwa, upraszamy zarazem o odniesienie się w tej sprawie do Prezydyum c. k. Namiestnictwa, celem zapobieżenia nadal takim nadużyciom i pociągnięcie winnych przekroczenia ustawy do odpowiedzialności.

Sekretarz: *W. Horváth.* Prezes: *S. Krogulski.*

Jak widzimy z tego pisma, kilkunastoletnia skrzętna praca p. Piegłowskiego i Galińskiego w skutek kilku wyżej wymienionych kłusowników idzie na marne, a również w niwec idą wszelkie starania i wydatki czynione przez Tow. myśliwskie im. Huberta, w celu podniesienia zwierzostanu w rewirach przez niego dzierżawionych.

Wydział Tow. łowieckiego, jak wiadomo, uczynił już doniesienie o tem do Namiestnictwa i jest nadzieja, że władze w to się wdadzą i koniec temu rabunkowi zwierzyny położą.

SPRAWOZDANIA MYŚLIWSKIE.

Z Galicyi.

W Stronibabach (w pow. złoczowskim), w majątku p. Kazimierza Obertyńskiego, było tymi dniami polowanie, w którem wzięło udział liczne grono zaproszonych osób. Polowanie powiodło się dobrze, gdyż w przeciągu kilku godzin ubito 5 rogaczy, 48 zajęcy, 7 lisów i dwie kuropatwy. Po skończeniu polowania, gospodarstwo podejmowali grono łowieckie ze staropolską gościnnością.

Z Królestwa.

U hr. Michała Tyszkiewicza w Osuchowie (gub warszawskiej) d. 5., 6. i 7. b. m., odbyło się wielkie polowanie z chartami, urozmaicone różnemi hippicznemi gonitwami i konkursami. Nagrody w gonitwach zdobyli: pp. A. Wierzbowski, S. Woyde, Andrychiewicz (znany artysta malarz) i inni Wszyscy goście otrzymali pamiątkowe upominki w postaci przyborów myśliwskich.

KRONIKA.

Zwracamy uwagę P. T. właścicieli polowań na oświadczenie, które w Biurze Wydziału Towarzystwa złożył w sprawie zakupna zwierzyny p. Jan Chrypiak, handlarz zwierzyny we Lwowie. Oferta ta wydawała się Biuru z tego powodu korzystną, że odnosi się tak do pory jesiennej jak i zimowej, a do tej ostatniej bez względu na odwilż, tj. porę, w której zwierzyna na cenie traci. Byłoby rzeczą wskazaną, aby P. T. właściciele polowań, którzy na sprzedaż swej zwierzyny w tej drodze reflektować będą, podali wcześnie czy to na ręce Wydziału, czy wprost pod adresem p. Chrypiaka, czas polowania i przypuszczalną ilość zwierzyny.

Zarząd Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie przypomina pp. Członkom, że nadzwyczajne walne zgromadzenie, celem uchwalenia nowego statutu, odbędzie się dnia 20. listopada b. r. o godzinie 6 wieczorem w małej sali Kasyna miejskiego.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo: W ostatnim numerze „*Łowca*“ przeczytałem ze zdziwieniem pod rubryką „Wypadek na polowaniu“, jakobym kogoś na polowaniu w Kętach postrzelił. Mam zaszczyt donieść Sz. Redakcyi, że ani na polowaniu w Kętach, ani w ogóle w Kętach w r. b. nie byłem, a od 25go sierpnia z Krakowa wcale nie wyjeżdżałem. Wiadomość więc o wypadku była nieprawdziwą.

Dr. Zygmunt Kuliński, c. k. adjunkt sądowy.

Niedźwiedzie. Z Pesztu donoszą, iż w wiosce Zajron w komitacie kronsztadzkim ogromne szkody wyrządzają niedźwiedzie. W zeszłym tygodniu rozszarpały dwoje cieląt. Władze zamierzają urządzić na niedźwiedzie obławę.

Setnego rogacza położył dnia 13. sierpnia br. arcyksiążę Karol Stefan na wieczornym podchodzie w rewirze Magóra-Rycerka.

Obfitość kuropatw w bieżącym roku musi być wielką w W. Ks. Poznańskiem, gdyż jak donoszą pisma poznańskie, w Gułczewku pod Gnieznem, leśniczy Sołtysiak zastrzelił w roku bieżącym 1557 kuropatw.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Dziennika polskiego“ Dra Feliksa Woynarowskiego pod zarządem Fr. Kattnera, we Lwowie ul. Cicha l. 5.